



ROK LIX

MISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEK

№ 27

WARSZAWA, 3 LIPCA 1926 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Straszaki—*H. Ceysingerówna*. Musia—*Józef Jankowski*. Beatrix Cenci—*Dr. M. Kastarska*. W Łowiczu—*Helena Boguszewska*. Rycerz biały, czarny i myszy—*Z. Reutt-Witkowska*. Valencia—*G. A. Borgese*. Panna Kamilcia—*Cecylja Walewska*. Przymierze z dzieckiem—*Marja Kuncewiczowa*. Córka Boga (c. d.)—*Z. Zawiszanka*. Kobieta w świecie i w domu—*Z. B.* Dział praktyczny: Mody i roboty. Haftowane drobiazgi. Suknie deseniowe—*W. D. Derby-Well*. Na czasie—*Dr. Pajerski Franciszek*. Polska współczesna. Uprawa pomidorów—*Stan. Schönfeld*. Walka z molami—*Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta*. Korespondencje działu praktycznego. Kurs przetworów owocowych. Opis sukien i robót. Dodatek powieściowy: „Jej imię”—*Concha Espina* (autoryzowany przekład z hiszpańskiego T. Jakubowicza). Arkusz wzorów.

STRASZAKI

Nasze społeczeństwo współczesne przetykane jest gęsto uciekinjerami z Rosji, z dalekich kresów dawnego naszego Państwa, z odległych rubieży ziem carskich—Polakami i Rosjanami.

Ludzie ci wynieśli z lat pobytu swego pod rządem Sowietów wizje wszelkiego rodzaju okropności, od pełnych, po kolana krwi, lochów czerezwyczajek do ludożerstwa głodujących mas; nerwy ich doznały głębokiego wstrząśnienia, włosy ich pobieleły na głowach, a wyobraźnie uległy nieprzemiennej sugestji o potęgę bolszewizmu, który potrafił w carskiej Rosji przewrócić wszystko do góry nogami, a zatem, wnioskują naiwnie dawni czciciele potęgi carskiej—potrafi przewrócić wszystko na świecie.

Ludzie ci, w sposób wprost manjacki, upatrują wszędzie i we wszystkim znamiona nadchodzącego bolszewizmu. Zjawiska odmiennych zgoła kategorii, przejawy koniecznego dla życia organizmów narodowych ewolucjonizmu, wydają im się tą przerażającą ich „kiereńszczyzną“, która, wedle przepisanej chyba przez Breszko-Breszkowskiego recepty, wszędzie i zawsze poprzedzać ma przewrót komunistyczny.

Nawiasem mówiąc, zdumiewającym jest, jak ten, pozbawiony wszelkiego talentu i sensu autor rosyjski, o sprawach polskich odzywający się z imper tynencką pewnością siebie, potrafił odzwierciedlić nastroje tych właśnie kół, którym wewnętrzne zmagania się społeczności polskiej, dążącej po linii własnego rozwoju, nasuwają tylko sakramentalne ostrzeżenia: „to już kiereńszczyzna! po niej nadejdzie bolszewizm... nie mówcie, że nie! myśmy to widzieli, my własnymi oczami patrzyliśmy na to w Rosji“ itd. itd.

Niema chyba człowieka w Polsce, któryby słów tego rodzaju nie słyszał?...

Ludzie lubią sobie upraszczać rozumowania ułatwiać sądy, a podobieństwa pozorne brać za istotę rzeczy, zwłaszcza ludzie o starganych ner-

wach, wystraszeni, zmanjerowani przez życie w pewnym określonym kierunku.

Chwytają tylko podobieństwa, nie ujmują różnic—stąd wiodą źródła myślowe ich pomyłek.

Kardynalną, nieuwzględnioną przez nich różnicą, to różnica między Polską a Rosją, ogólniej mówiąc, między wschodem a zachodem.

Z tej różnicy nawet i władcy Sowietów, z początku zwłaszcza, nie zdawali sobie sprawy i dlatego budowali nadzieje łatwego swego w Polsce zwycięstwa.

Aliści upłynęło lat kilka i okazało się, że Polska jest tym terenem zachodnim, po którym wicher bolszewizmu nie hasa tak bez przeszkód. Polska psychicznie nie jest pustym stepem.

Pustym stepem uczyniły Rosję stulecia Iwanów, Piotrów, Mikołajów, pleniące systematycznie naród ze wszelkich odruchów woli, heroizmu, zdolności tworzenia i przetwarzania samodzielnie życia; a co najważniejsza—ze wszelkich wiar i miłości; urabiały one naród a miązę bierną, systemowi despotyzmu każdem w kienkiem psychiki swojej bezopornie poddaną.

Od jednego despotyzmu najłatwiej przejść do drugiego; od białego strachu do czerwonego strachu—od stryczka carskiego do kuli bolszewickiej. Miązga nie ma w sobie siły oporu. Miązga dawnego systemu nie kocha, choć się go bała.

W tej chwili z miązgi tej lepią sowiety karykaturę komunizmu. Lepić łatwo... ale to się rozleci...

Nie tu miejsce malować odmiennie drogi rozwoju Polski. Wystarczy zajrzeć do historii. Zaznaczam tylko, że okres ostatni, okres upadku politycznego, nie tylko nie odzwyczaił Polaków od samodzielności dążeń do tworzenia i przetwarzania życia, ale wprost przeciwnie, każdą żywszą jednostkę powoływał niejako do brania na swoją odpowiedzialność losów całego narodu. Okres ten wyładował tak niesłychaną dozę nieśmiertelnej wiary—na-



Cz 434/1926/27-52

3292 a 1974

dziei, taką dozę, żadną siłą z łon ludzkich niewydar- tego, ukochania, że starczyło tych elementów nie- tylko na kilkadziesiąt tomów najoryginalniejszej po- ezi, ale i na zapełnienie wszystkich rosyjskich ko- palń, wszystkich więzień, wszystkich szlaków tu- łactwa! I dlatego to dusza polska nie jest dziś pia- skiem stepowym, na którym ostroga Trockiego wypi- sywać może hasła takie, czy inne. Ta ziemia wzdłuż i wszerz popisana runami wielkich wysiłków ducha, myśli, uczucia. Tu hasła agitatorów głuszy tysiące głosów żywych i umarłych.

Tu jest inny świat, świat swój własny, odrębny, obrócony twarzą ku zachodowi, tu nawet jakimś zrządzeniem losu zaprowadzony komunizm przy- brałby musiał inną zgoła fizjonomję, stając się ko- munizmem Henryka Kamieńskiego, Edwarda Dem- bowskiego, ks. Scegiennego.

Mówię to wszystko nie dlatego, żeby pocieszyć i uspokoić nieszczęsne ofiary teroru bolszewickiego. Wiem, że są wśród nich tacy, których uspokoić zdoła tylko śmierć cicha.

Mówię dlatego, że ich strach się udziela, że ich manja przesładowcza staje na drodze prawidło- wego rozwoju nowego życia.

Dążenie do powszechnej oświaty, prawodawstwo robotnicze, kasy chorych, reforma rolna, stowarzy- szenia, związki zawodowe itd. itd. to wszystko we- dle ich nomenklatury jest bolszewizmem, wstępem do rewolucji.

Pragnęliby nastawić zegar dziejów na godzinę wstąpienia na tron Mikołaja II-go i na tem stanąć. Ale zegar dziejów bije dalsze godziny! Praw ewo- lucji zatrzymać nie można i nie trzeba, właśnie pod grozą rewolucji!

Zdawałoby się, jest rzeczą jasną, iż w Polsce nowej trzeba stworzyć wszystkim obywatelom, wszys- tkim warstwom takie warunki bytu, żeby dla żadnej

z nich pokusy bolszewickiego rajy nie miały uroku. Tą drogą idą prądy reformistyczne, wcielające się w wyżej wspomniane instytucje, ustawy, zarządzenia, projekty i pomysły. Nie wszystkie z tych ustaw mogą być dobrze obmyślane nie wszystkie zarzą- dzenia trafne, nie wszystkie instytucje odrazu do- skonale funkcjonujące. I to jest inna sprawa! Cho- dzi o zasadnicze obranie kierunku.

Cofać się wstecz, ze strachu przed rewolucją socjalną, czy iść śmiało naprzód, doskonaląc życie na wszystkich polach, dążąc do wytworzenia możli- wie największej ilości dobrobytu, szczęścia, do roz- woju sił duchowych w całym narodzie, do dorówna- nia ludom zachodnim w ich postępie...

Doprawdy, myślę, że ten, kto by się zdecydował cofnąć i zatamować i znieść to prawodawstwo i in- stytucje i urzędzenia nowszych czasów, kto czarną noc ciemnoty i upośledzenia politycznego i ekono- micznego rozpostrzełby postanowił nad polskim światem pracy, ten właśnie stanąłby odrazu twarzą w twarz z rewolucją i to może rewolucją komuni- styczną. Odsuńmy więc od siebie te majaki, wylęglę ze krwi czerezwyczajek; rozbitkom carskiego porządku rzeczy dajmy gościne, wysadzonym z siodła rodakom— pracę, miejmy zrozumienie i odczucie dla ich nie- szczęść osobistych, ale nie pozwólmy się sugestjo- nować słowom: „patrzyłem na to w Rosji własnymi oczami“. Te oczy bowiem patrzyły tam na co inne- go Ich doświadczenia nie dadzą się zastosować u nas. Wygnajmy z życia naszego próżne straszaki, mamidła krwawe!

Nie znaczy to oczywiście, by pozwolić graso- wać bezkarnie po kraju komiwojażerom Rosji so- wieckiej. Ale nie utożsamiajmy ewolucjonizmu spo- łecznego z rewolucją komunistyczną, bo gmatwamy niepotrzebnie pojęcia, hamujemy rozwój, który jed- nak i tak pójdzie swoją drogą. *H. Ceyserówna.*

M U S I A

(MARJA BASZKIRCEW)



wieżo w Les Nouvelles Litté- raires pisarz francuski, Ubéric Cah- net, poświęca dłuższe wspomnienie Marji Baszkircew w artykule o. t. „Moussia ou la vie et la mort de Marie Bashkirtseff“⁽¹⁾. Z ar- tykułu tego przytoczymy krótki frag- ment, dotyczący grobowca Marji, i za- tym przewodem rozważymy nieco istotę tego nie- zwykłego zjawiska, jakim było jej życie.

Naprzód więc ten fragment cmentarny.

„Pewnego dnia majowego udałem się na wło- częgę po cmentarzu Passy, gdzie roje pierwiosnków na trawnikach otwierały swe niebieskie oczy. Ranek wiosenny był nieco rzeźki, pomiędzy dwoma de- szczami. Powiewy krzyżowały się w jodłach, jak głosy. Żaden krok w alejach zielonych nie odpowiadał echem mym krokom. Nie było wcale w tej godzinie świeżej stacyj żarliwych, i obserwowałem, jak tutaj dzieło liściościwe i czułe przyrody jest lepsze od rze- czy ludzkiej, z jaką szczodrością ze swych drzew rozwiniętych, ze swych szczepów kwiatowych, roz- chodników i mchów, układało dla cieniów, których strzegło, opiekuńczą ozdobę i swój pejzaż czuły.

Odosobniona, panująca, kaplica Baszkircew

oddzielała się od zieleni. Stróż cmentarny otworzył drzwi grobowca, i zwiedziłem jego wnętrze, aż do krypty tajemnej. Przechodzień, z zewnątrz, może widzieć zakątek pracowni malarskiej, całkowicie od- tworzony ze stalugami, paletami, kłęcznikami, wielu przedmiotami użytku codziennego, i jako tło tego zdobnicze, wielki obraz niedokończony Marji. „Świe- te niewiasty u grobu Chrystusa“, dwie syl- wety tragiczne, niosące żalobę swych dusz umarłych.

Gdy wejdzie się do kaplicy, rysunek przycze- piony do muru, w ramie czarnej, otoczonej srebrnym wieńcem palmowym, zwraca odrazu uwagę: jest to oblicze Marji Baszkircew bez życia, z oczyma zga- słemi i pół przymkniętymi, podpis: „Gustave Cour- tois, vendredi 31 octobre 1884“. Jako kontrast z tym wizerunkiem zmrożonym, na stole ołtarzowym, portret czarujący Marji młodocianej, z twarzą delikatną i różaną, z włosami koloru słońca, ze spojrzeniem, które nazbyt myśli, z ramionami i rękoma o wdzięku nieskończonym.

Schodzi się do krypty przez podwójne schody, zagłębiające się w ciemność. Tego ranka majowego, gdym odwiedzał zmarłą, dziecko stąpało przedemną z chwiejącym się płomieniem. Zaprowadziło mnie w podziemiu do białej płyty marmurowej, gdzie wy-

pisane jest tylko imię. Dookoła, prochy kwiatów uwiedłych, świecznik trzyramienny ze świecami woskowymi, do połowy strawionymi, które dziecko zapaliło. U wezłowania grobu, płaczka wsparła plecami o mur swą wysoką sylwetę nagą, okrytą dużą zasłoną prawdziwą z lekkiej, przezroczystej krepy, spadającej cieniem na cienie posadзки. Z lewej strony, na ścianie, tłoczył się jeszcze zbiór dziś rozproszony świętych obrazów bezskutecznie opiekuńczych, tych ikon złotych i srebrnych, które Marja przywiozła z Rusi, i które poszły za nią do grobu.

Było tam również popiersie z marmuru zmarłej, w wieku trzynastu, czy czternastu lat, gdy pisała w swym Dzienniku: „Zdaje mi się, że jestem na tym świecie do szczęścia. Uczyni mnie szczęśliwą, mój Boże!”

Równolegle z płytą grobową, mogiła wykopana, otworem ziejąca, przeznaczona dla matki. Gromnice płonęły do góry, wysokim płomieniem. W ciszy tej, oświetlonej, była chłodna pogoda życia podziemnego, ale nie miałaś, mimo to, wcale wrażenia nicości absolutnej. Rzadko kiedy czułem tak, jak w tym przybytku grobowym, obecność duszy, która pozostaje żywa. Nic zgoła nie wiemy o śmierci. „Pomiędzy mną i resztą ziemi”, pisała Marja, „jest zasłona. Gdyby wiedziano, co jest tam! Ale nikt nie wie. Zresztą, to ta ciekawość sprawi, że śmierć mi będzie mniej straszna.” Ale mówiła jeszcze: „Och, gdy pomyślę, że żyje się raz tylko, i że każda minuta zbliża nas do śmierci, szaleństwo mną ogarnia! Nie boję się śmierci, ale życie jest tak krótkie, że trwonienie go jest nikczemnością... Zdaje mi się, że nikt nie kocha, tak jak ja, wszystkiego: sztuk, muzyki, malarstwa, książek, świata, sukien, zbytku, zgiełku, ciszy, śmiechu, smutku, melancholji, miłości, zimna, słońca, wszystkich pór roku, wszystkich stanów atmosferycznych, równin spokojnych Rosji, gór dookoła Neapolu i śniegu w zimie, deszczów w jesieni, wiosny i jej szaleństw, spokojnych dni letnich i nocy pięknych z gwiazdami błyszczącymi... Kocham i uwielbiam wszystko. Wszystko mi się okazuje pod postacią zajmującą, albo wzniosłą. Wszystko chciałabym widzieć, wszystko mieć, wszystko objąć w uścisku, złąć się ze wszystkim i umrzeć, gdy tak trzeba, za dwa lata, czy za trzydzieści lat; umrzeć w ekstazie, by doświadczyć tej ostatniej tajemnicy, tego końca wszystkiego, czy tego początku boskiego.”

Widzę jeszcze, jak dziecko gasi świece woskowe, jedną za drugą, powoli. Zdawało się, że tak samo gasł szmer zwierzeń żywych Dziennika. A jednak, gdy ostatni blask ślizgał się po marmurze jasnym, te słowa przyszły mi jeszcze na myśl: „Miałam sen, że położono na mojem łóżku trumnę i powiedziano, że tam w niej spoczywa dziewczę. I trumna ta jaśniała fosforycznie w nocy.”

Autor słów powyższych jest nie pierwszym i nie ostatnim zapewne wielbicielem zmarłej przed czterdziestu laty rosjanki, która ciało swoje zaszczepliła na glebie francuskiej, a duszę na glebie kosmopolitycznej sztuki piękna i wdzięku, która czarem swoim potrafiła olśnić najprzedniejsze umysły i wytworzyć kult dla siebie, miłość i współczucie wśród wielu dziesiątków tysięcy kobiet wrażliwych i czułych, — kult, dodajmy, który trwa dotąd.

Kim była ta niepospolita kobieta, że taki czar rzuciła dokoła, jakiego zazdrościć jej może niejeden władca pióra, niejeden tytan ducha i myśli? Czem zasłynęła, co uczyniła tak doniosłego, co stworzyła tak potężnego, czy dobroczynnego dla ludzkości, że w domach ołtarzyki robią z jej wizerunku, że posągami marmurowymi czczą w muzeum nicej-

skiem i ulicę w tem mieście zwą jej nazwiskiem? Czem się dzieje, że sam dźwięk jej nazwiska budzi bezkrytyczne rzewne uczucie w sercu inteligentnej i wrażliwej kobiety, że ją za siostrę swą duchową czule poczytuje, znając ją zaledwie z ulotnych kart Dziennika?

Dziennik! Zapewne! Jest on szczery, porywczy, gorący, płomienny, pełen bezpośrednich uczuć i pędów. Ale nie zawiera on, ani żadnej wielkiej mądrości, ani nauki, którąby za przewodnią brać można. Nie lśni wielkim talentem, ani kunsztem stylu. Jest w nim sporo dzieciństwa, sporo wrażliwości zmiennej i kapryśnej, grzeszy brakiem logiki życia i myśli. Zkądże ten urok?

Malarka? Tak! dobra, ale dużo jest lepszych, które setnej części nie zdobyły tego rozgłosu i ani odrobiny tego współczucia. Miała podobno śliczny głos, ale był on tylko zarodem sławy, który śmierć przecięła.

Współczucie dla jej choroby, dla spalającego się w oczach pięknego ciała? Ależ dużo kobiet pięknych umiera na suchoty i nikt ich nie czci za to.

Gdzież więc zagadka jej wpływu czarownego, który pod koniec przeszłego wieku na tle pozytywnej wówczas kultury paryskiej błysnął meteorom barwnym, jaskrawym, o charakterze raczej romantycznym i tchnieniami rozbitami krótkiego swego istnienia wypełnił tyle serc ludzkich?

Autor wyżej zacytowany, tak zbliża się do tej zagadki: „To w nas samych”, powiada on, „trzeba szukać, by zrozumieć Marję Baszkirczew, by ją pokochać, być może, by jej odpuścić, jeżeli mamy naprawdę coś jej do zarzucenia. Marja jest postacią czarną i białą. Symbolizuje ona z mocą najwyższą dwa te dramaty naszego człowieczeństwa: życie i śmierć. Jest ona myślą i majakiem, miłością, pychą, gwałtownością, porażką, triumfem, pobudową i zniszczeniem, — wszystkim, czem my jesteśmy. I gdy mi powiedzą, że nie była świętą, odpowiem, że wolę ją, jaką była, gdyż więcej jest do nas podobna.”

Za życia, była ona najbardziej z żyjących. W każdej swej chwili chciała zawrzeć całe swe życie. Była ona żywym plastycznym wyrazem ogniskowania w sobie płomiennego tego, co nikłym promieniem drga w piersi każdego z nas: potrzeby wysiłku życia wobec widma śmierci. Była ona czułością i wrażliwością powszechną, do maximum natężoną, i tak powszechną, że każdy z nas jest jej poniekąd krewny. Była istotą mnożną, pożeraną przez nadmiar sił, zrodzoną z przeciwieństw: śmierci, wychodzącej z życia, i życia, wychodzącego ze śmierci. Mimo różność i przeciwieństwa, była ona jednolita, i nie można oddzielać jej światła od jej cieni: obraz i jego piękno zacierają się zaraz.

Pisano w obronie jej i przeciw niej wiele kart świetnych, nie pozbawionych słuszności. Chciała hołdów za życia. Otrzymała ich po śmierci więcej, niż chciała. To właśnie dlatego, że, z wadami i zaletami, była wyteżonym obrazem pełni życia ludzkiego, na wadze życia i śmierci. Była rozżarzoną, aż do płomienia, potencją życia, drzemającą tylko nikłym zarzewiem w każdym zwyczajnym człowieku. Stąd w tym jej wysiłku każdy się cząstkowo poznaje.

Zmarły niedawno akademik i pisarz znakomity z duszą podniosłą i gorącą, Maurycy Barrès, znał bliżej Marję Baszkirczew, ową czarującą Musię, i poświęcił jej trzy artykuły, trzy studia (Trois Stations de Psychothérapie), które odsłoniły jej duszę i zniewoliły ostatecznie wszystkich do kochania, do oddania jej hołdu pośmiertnego. Cytowany przez nas wyżej autor nie bez słuszności może twier-

dzi, że Marja należała do rasy umysłowej i duchowej ludzi w rodzaju Barrès'a, który „indywidualizmem swym władczyim odcinał się od wszystkiego, co ogranicza horyzonty i wyżyny“. Z czułością tedy braterską adoptował on ten cień czarowny.

Oto jest parę zdań z tej pochwały gorącej:

„...Jest z nas kilku, którzy to wzruszające dziewczęcę zachowujemy w wyobraźni i, jeżeli tak wolno powiedzieć, — w sercu... Jeżeli dwadzieścia innych popisywało się tym samym sposobem pojmowania życia, nie miały one giętkości, samorzutności, soku ożywczego tego wybranego dziecka. Będąc tak młodą, stopiła ona pięć czy sześć dusz wyjątkowych w swej piersi nazbyt delikatnej i już porażonej chorobą“.

„Gdy umarła, miała w swym mózgu książki czterech narodów, w oczach wszystkie muzea i najpiękniejsze pejzaże, w sercu zalotność i entuzjazm. Pielgrzym młodziutki, szukający poprzez Europę gorączki, którą się ludzie nie nużą...“

„...Jej młodość płomienna — to nasza młodość płomienna, płomiennność wszystkich młodości gorących.“

Ostatnie zdanie może być słusznie epigramatem, streszczającym istotę tego młodego feniksa, tej żarliwej kapłanki życia.

Józef Jankowski.

¹⁾ Z książki swej pod tymże tytułem, która świeżo się ukazała (przyp. aut.).

BEATRIX CENCI W ŚWIETLE PRAWDY HISTORYCZNEJ

Niewiele chyba obrazów jest tak znanych, jak niewielki portret młodej dziewczyny, pendzla Guido Reni, znajdujący się w Galerii Barberina w Rzymie. Słodka, smutna twarzyczka, owiana jakimś tęsknym urokiem, połączona z tragicznym wspomnieniem młodej patryjuszki wmieszanej w historię zabójstwa własnego ojca i skazanej na śmierć podczas pontyfikatu Klemensa VIII, miała przez trzy wieki przywilej budzenia natchnienia poetów i sporów historyków. Wrogowie władzy politycznej papieży idealizowali chętnie ową „dziewicę rzymską“, podczas gdy inni widzieli w niej cyniczną ojcobójczynię i każdy przytaczał inne dowody i inne okoliczności. Fakt pozostawał faktem, lecz powody były różne. U Słowackiego Beatrix jest ofiarą, która żąda, aby na jej grobie postawiono „posąg białemu wstydomi“. Czy w samej rzeczy prawdziwa Beatrix Cenci była tak idealną? Na pytanie to spróbował odpowiedzieć uczony rzymski, Corrado Ricci. Naturalnie książka jego, choć wyczerpująca i rzucająca nowe światło na historię heroiny dramatów Shelley'a i Słowackiego, poeta chętniej zawsze słuchać będzie, co szepce wieczorem jesienny wiatr, płaczący cicho wśród ruin pałacu Cenci i otaczających go, ponurych cyprysów, niż wertować księgi, oparte na najskrupulatniejszych studjach. I będzie miał słusność, bo jak twierdzi Rostand: „ou l'histoire a tort, le poëte a raison“. Zwykły jednak śmiertelnik, a nieraz nawet i poeta, może i powinien odczuć poezję prawdy, którą nieraz z takim trudem odwalają z gruzu historycy, jak się to ma rzecz z Beatrix Cenci.

Corrado Ricci po długiej pracy i poszukiwaniach dopiął celu i zgromadził wszystkie znane dokumenty, oraz, co ważniejsze, odkrył nieznane. Posłuchajmy, co mówi o tem pani Marc Hélys, przedstawiająca dzieło Corrado Ricci we Francji, gdzie zarówno, jak we Włoszech, narobił on wiele hałasu.

„Archiwa sekretne Watykanu, konfraterni San Giovanni Decollato, oraz Stygmatów Krucyfiksu, dostarczyły mu obfitych zbiorów. Rodziny Cenci-Bolognetti i książąt de Vicorazo pozwoliły mu zapoznać się z kolekcją dokumentów zupełnie dotychczas nieznanymi, wśród których znajdował się list Beatryczy, rísany własnoręcznie w więzieniu na dwadzieścia dni przed śmiercią. Lecz najważniejszym dokumentem była kopia kompletna „Procesu“ (którego nie trzeba brać za znane już Som-

mariu Watykańskie). Jedyny Corrado Ricci ze wszystkich pisarzy, którzy zajmowali się tą straszną tragedją, miał przed oczyma ten wielkiej wagi dokument“

Owa kopia procesu, obejmująca najdrobniejsze jego szczegóły, została sporządzona na rozkaz rodziny Cenci, w celu jej własnej obrony. Składała się ona z 2 grubych tomów, z których adwokat Agostino Stramazzi de Belforte-sul-Chienti, zrobił duże kopje przed rokiem 1849. Jedną z tych kopij, zachowaną w archiwach państwowych rzymskich, wskazał Corrado Ricci, dyrektor Archiwów, Eugenio Casanova. Drugi egzemplarz został mu zakomunikowany za pośrednictwem adwokata Arturo Vecchini z Belforte-sul-Chienti.

Co do dwóch tomów oryginału, to losy ich były dość różne, gdyż drogą spadku przechodziły one z rąk do rąk, wskutek czego tom drugi zaginął bez śladu, tom zaś pierwszy znajduje się w Archiwach rodziny Brazza-Savorgnan, gdzie odkrył go Corrado Ricci. Sam uczony wyraża się w ten sposób o owym drogocennym zabytku epoki: „Jest to przedziwny dokument, pełen szczegółów, akcentów, westchnień, krzyków bólu i zgrozy, protestów, uniesień gniewu i oburzenia, gdzie maluje się jasno ponura tragedja, oraz cała psychologia smutnej epoki i smutnych postaci, a przede wszystkim Beatryczy Cenci, którą chciano uważać za enigmatyczną, a która w rzeczy samej jest tak zrozumiała, jak powody, które ją popchnęły do zbrodni“.

Będąc w posiadaniu tych cennych świadectw przeszłości, Corrado Ricci wydał przede wszystkim dwutomową historję procesu, zaopatrując ją w najszczegółowsze i najdokładniejsze komentarze, a następnie, widząc olbrzymie zainteresowanie się publiczności tą kwestją, streścił ją w jednym tomie, tworzącym lekturę dostępną dla ogółu czytelników. Dzieło to zostało świeżo przetłumaczone na język francuski przez panią Marc Hélys. We Włoszech odkrycia Corrado Ricci wywołały ogromne wrażenie. Mnóstwo krytyków i prawników zajęło się roztrząsaniem i samej sprawy, i towarzyszących jej okoliczności, i dzieła Corrado Ricci. Jeden z najwybitniejszych prawników włoskich naszej epoki napisał, podług historii procesu, i ogłosił drukiem obronę Beatryczy Cenci, której domagał się śmiało uniewinnienia. Przypatrzmy się w głównych zarzysach heroinie

tylu romansów i dramatów, w świetle prawdy historycznej.

Beatrix urodziła się 6 lutego 1577 r. „we środe“ w smutnym pałacu Cencich w Rzymie. Bardzo piękna i niezwykle inteligentna, oznaczala się przytem energią i mocnym charakterem. O przedwczesnej jej dojrzałości świadczy fakt, że jej, a nie swej drugiej żonie Lukrecji Cenci, ojciec jej, Francesco Cenci, powierza zarząd domem. Ale jednocześnie faktem jest, że ta szesnastoletnia dziewczyna budzi w nim miast dumy ojcowskiej, niczem niewytłumaczoną nienawiść, czy to z powodu właśnie swego silnego charakteru i silnych namiętności, czy też może z powodu swej urody i oporu pożądanom zdegenerowanego wielkiego pana rzymskiego. Na podkreślenie zasługuje okoliczność, że dokument sporządzony staraniem rodziny Cenci, a więc raczej wrogo dla Francesco Cenci, nie może dowieść zgwałcenia Beatryczy przez jej ojca, mimo usiłowań złagodzenia w ten sposób winy i kary przestępców.

Rodzina Cenci miała swą piękną kartę w historii Włoch średniowiecznych, lecz w epoce, o której mowa, upadła bardzo nisko. Ojciec Beatryczy, Francesco Cenci, urodzony w roku 1549, był synem nieprawym Cristoforo Cenci, oraz bogatej, ale niezbyt cnotliwej damy rzymskiej, Beatryczy Ariae, która, zostawszy „na szczęście“ wkrótce potem wdową, zaślubiła Cristofora Cenci w maju r. 1562. W parę miesięcy potem umiera Cristoforo. Francesco Cenci, uznany za jego jedynego prawego syna i spadkobiercę, zostaje w dwunastym roku życia panem miljonowej fortuny. W prawie dziecięcym jeszcze wieku wykazuje tak znieprawione instynkty, że przerażony jego opiekun monsignore Santacroce, sądząc, że małżeństwo uspokoi może zbyt burzliwego młodzieniaszka, żeni go z ubogą, lecz piękną, czternastoletnią dziewczyną w r. 1563. W roku 1567 rodzi się pierwszy syn, po którym następuje dwanaścioro braci i siostr. W kwietniu r. 1584 umiera w położu Ersilia Cenci, mając lat 25.

Ani małżeństwo, ani ojcowstwo nie wpłynęło na burzliwą naturę Francesco Cenci, pozostanie on do końca życia rozpustnikiem i zbrodniarzem. Niema występku, którego by nie popełnił, niema podłości, której by się nie dopuścił. Podczas pontyfikatu Sykstusa V, ścigającego nieubłaganie wszystkich przestępców, a daleko surowszy dla możnych, niż dla ubogich, zdaje się przez chwilę, że Francesco Cenci opamięta się pod wpływem strachu. Trwa to krótko, bo niedługo potem ponury magnat rzymski powraca do swego dawnego życia. Nadużycia jego tak dalece przewyższają wszelką miarę, że sprawiedliwość papieska wtrąca go — rzecz niesłychana, gdy chodzi o tak możnego arystokratę — na 3 miesiące do więzień kapitolinijskich. Ale brak dowodów, brak świadectw. Terror, jaki wywierał Cenci, był tak straszliwy, że bano się świadczyć przeciwko niemu. Wydobywa się więc z więzienia kosztem olbrzymiej sumy 100.000 dukatów i, pałając zemstą, stara się odkryć denuncjatora. Jest nim jego własny syn, Giacomo, ożeniony z Ludoviką Velli, kuzynką Cencich, który już dawno uciekł z domu, aby uniknąć tyranji ojca. Niewiele może wart ów Giacomo, który wciąż spiskuje przeciw ojcu, lecz stale zastania się kimś, aby nań zwalić winę. Francesco Cenci boi się Giacomo i podejrzewa go o chęć otrucia ojca.

W ciągłej obawie przed sądem papieskim i przed Giacomo, Francesco Cenci, wydawszy za mąż dwie ostatnie córki Lavinię i Antoninę, postanawia przenieść się do zamku w Petrella, niedaleko od Rzymu,

wraz z nieszczęsną Beatrix, bitą, tyranizowaną i używaną do wszelkich usług, nieraz wprost wstrętnych, oraz z drugą swą żoną, Lukrecją z domu Petroni, wdową po Felice Velli, kobietą słabego charakteru i wielkiej urody. Cenci skusił ją obietnicą wyposażenia jej 9-ga dzieci z pierwszego małżeństwa i od tej pory biedna ofiara znosi cierpliwie wszelkie zniewagi, nie mając nawet siły na bunt.

W Petrella służące uciekają z domu Cencich, ale dwie tyranizowane kobiety muszą wytrwać. Rodzajem powiernika i majordomo Francesca Cenci w Petrella jest niejaki Olimpio Calvetti, mężczyzna lat trzydziestu kilku, piękny i okazały, ale znany ze swej przeszłości dość burzliwej. Olimpio rabował niegdyś z bandytami i prowadził żywot bujny, lecz nie tak zbrodniczy, jak Francesco Cenci. Choć żonaty, uderzony wielką pięknoscią Beatryczy, stara się pozyskać względy młodej dziewczyny. Mimo ogromnej przepaści, dzielącej wówczas patrycjuszkę od nieszlachcica, zadanie Olimpia nie było tak trudnem. Beatrix bowiem, zrozpaczona i doprowadzona do ostateczności, gotowa była bodaj z djabłem wejść w przymierze, byle oswobodzić się od strasznej tyranji ojcowskiej. Lukrecja Cenci nie miała siły protestować, gdy Beatrix zawiadomiła ją o zamiarze zgładzenia jej niegodnego małżonka, a Giacomo nie myślał nawet sprzeciwić się temu. Olimpio i Beatrix próbują najpierw zgładzić Francesco Cenci zapomocą trucizny, lecz gdy to się nie udaje, decydują się na mord. Dwa razy Lukrecja zdola przeszkodzić im w ostatniej chwili, błagając o zwłokę, to z powodu święta, to pod innym pretekstem. Lecz czas nagli, Beatrix ma przytem nowy powód do pośpiechu: obawia się, aby Cenci nie odkrył tajemnicy jej romansu i stanu, którego wkrótce ukryć nie będzie mogła. I oto dnia 6 września 1598 roku, w niedzielę zrana dwaj mordercy, Olimpio i Marco Catalano, biedny grajek wioskowy, złudzony obietnicą bogatej nagrody, wchodzą do zamku w Petrella. Pierwszy chwytą za gardło leżącego w łóżku Francesco Cenci i rozbijają mu głowę młotkiem, drugi uderza go po nogach grubym walcem od ciasta.

Po dokonanym morderstwie pozostaje pytanie, co uczynić z trupem, który krwawi okropnie. Rozszerzwszy w balkonie dziurę od kloaki, Olimpio i Marco Catalano zrzucają przez nią nawpół ubranego trupa, podczas gdy kobiety usuwają ślady zbrodni: skrwawione prześcieradła, materace etc... Potem dopiero zaczyna się krzyk i lament obu kobiet, wzywających na pomoc. Zbiegła się cała wieś, przychodzą również księża miejscowi. Trupa wydostają z kloaki, obmywają, ubierają i bardzo pośpiesznie odprawiają pogrzeb. Poczem cała rodzina Cenci przenosi się do Rzymu, do domu Giacomo.

Tam też pośpieszy Olimpio, coraz bardziej zakochany w Beatryczy. Stosunek ten zaczyna zwracać uwagę, Beatrix nie chce ustąpić i na prośby brata oddalić Olimpio, w tym też czasie dość tajemniczo rodzi się jej syn, o którym nic bliżej nie wiadomo i którego ślady istnienia znajdziemy tylko w rzewnym ustępie testamentu Beatryczy, czyniącej legat dla nieszczęsnego dziecka, co nigdy znać nie będzie ani swego ojca, ani swej matki.

Tymczasem w Petrella chodzą coraz dziwniejsze słydy i dochodzą do Rzymu. Mnożą się poszlaki i pod naciskiem opinii publicznej władze papieskie nakazują aresztowanie Giacomo Cenci. Ale dumni patrycjusze nie wątpią, że skóńczy się na fałszywym alarmie. Olimpio usuwa się w cień i, czując się tropionym, stara się uciec na prowincję. To

zwiększa podejrzania. Catalano uciekł i szuka ją go również. Wreszcie zabito Olinpio i ujęto Catalano. Ten ostatni, wzięty na tortury, wyznaje prawdę. Beatrix i Lukrecja, aresztowane, również zostają osadzone w zamku św. Anioła, gdzie piękność młodej dziewczyny budzi ogólne uwielbienie i współzucie. Zrazu rodzina Cenci przeczy energicznie i z wielkim oburzeniem wszelkim oskarżeniom. Sędziowie wahają się przed użyciem tortur z powodu znakomitości rodu oskarżonych, lecz wreszcie nie mogą się przed tem cofać dłużej. Pierwszy Giacomo wyznaje prawdę, starając się zwalić winę na macochę i na siostrę; później zeznają również Lukrecja i Beatrix, ta ostatnia po długim, dumnym uporze, złamanym dopiero torturą. Sędziowie znają na koniec całą historję morderstwa Francesca Cenci. Pozostaje im tylko sąd i kara. Papież Klemens VIII waha się, wąż się obok niego dwa równie silne stronnictwa. Ale gdy wkrótce potem okazuje się, że zaczyna się istna epidemja ojcobójstw i matkobójstw, Klemens VIII podpisuje wyrok śmierci dla przykładu.

20-go września 1599 roku o 9 rano zaczyna się kaźń. Za wyjątkiem Lukrecji i młodzieńczego Bernarda Cenci, t. j. Giacomo i Beatrix idą na śmierć z wielką godnością i odwagą. Giacomo cierpliwie znosi ostatnie przedśmiertne tortury, Beatrix bez żadnej pomocy, sama wchodzi na szafot i sama kładzie głowę na pniu, ma przytem tyle wdzięku i wygląda tak młodo, że większość historyków i kronikarzy oraz naocznych świadków nie daje jej więcej nad lat 16 lub 17, podczas gdy ma 22 przeszło.

Współzucie dla niej i uwielbienie są ogólne, wtedy już zaczyna się formować legenda Beatrycze Cenci „dziewicy rzymskiej“. W

pogrzebie jej bierze udział mnóstwo osób, dziewice wieńczą ją kwiatami. Niestety, dziś nie wiadomo nawet, gdzie się znajdował jego grób w kościele San Pietro in Montecitorio, gdzie zgodnie z wolą Beatryczy złożono jej zwłoki.

Testament Beatryczy, w którym rozporządza ona swym posagiem, zawiera tajemniczy legat, pozostawiony do uznania dwóch dam rzymskich, Caterina de Santis i Margherita Sarocchi, aby umieściły tę sumę w sposób pewny i obracały procenta od niej na wychowanie „biednego dziecka“, które wszakże nigdy nie zostaje nazwanem. Beatrix dodaje tylko, że dała co do tego ustne wskazówki Katarzynie de Santis. W razie śmierci chłopca suma ta ma przejść poprostu na własność Katarzyny de Santis. Tu też ginie ślad syna Beatryczy, nie wiemy o nim nic więcej. Prawdopodobnie nie znał on swej historii pochodzenia i wychowany w jakimś klasztorze został mnichem. Któż wie zresztą.

Pozostaje do wyświetlenia jeszcze jeden szczegół dotyczący Beatryczy Cenci, a mianowicie legenda jej portretu. Wielu uczonych sprzeciwia się od dawna uznanej legendzie, jakoby obraz Guido Reni w galerji Barberini—wniesiony do domu Barberinich przez Vittarię Colonna—był portretem Beatryczy, dodając, że Guido Reni przybył do Rzymu dopiero w trzy lata po śmierci pięknej Cenci, a zatem nie mógł malować jej portretu w więzieniu. Jest to zdaniem owych uczonych Sybilla Samijska, istotnie malowana przez Guido Reni. Trudno rozstrzygnąć w tym wypadku, kto ma słuszość. Ale, jak słusznie zauważa tłumaczka dzieła Corrada Ricci, legenda pozostanie legendą i obraz ów stale uważanym będzie za portret Beatryczy Cenci.

Dr. M. Kostarska.



W ŁOWICZU



o tych wszystkich zagranicach, Rzymach, Florencjach, Medjolanach, Wenecjach — najwzyczajniejsza w świecie, łatwa, niedaleka — wycieczka do Łowicza.

Przyjeżdżamy wczesnym rankiem, w pochmurny dzień. Okolica niska, jednostajna, podmokła. Leniwa Bzura

o płaskich brzegach, kanały, drewniane mosty, mokre łąki, świeże, zielone — zielone...

A Kampanja rzymska, bezwodna, spalona słońcem, wygląda teraz, jak pustynia!

Wzdłuż dróg stare głowiaste wierzby i ogromne topole o młodych, lepkich, ślicznie pachnących liściach.

A w oczach mam jeszcze popielate oliwki południa i zakurzone, sztywne palmy o koronach za małych w stosunku do grubych pni.

Po tamtych ruinach, kolumnach, cudach z kamienia i marmuru, bluszczach, glicynjach, winnicach — tu wszystko wydaje się dziwnie proste, zwy-

czajne, bezpretensjonalne, wprost niewiedzące o sobie i jednostajny płaski zielony krajobraz, i ładne, stare miasteczko z czworokątnym rynkiem, starą ciężką i wielką kolegiatą i renesansową katedrą. W kaplicy kolegiaty pokazują nam ładne freski na sklepieniu i na murze, był czas, że Moskale przerobili tę kaplicę na prawosławną i zamalowali, poprostu mówiąc „zasmarowali“ barbarzyńsko, olejną farbą i freski i stare odrzwia z czarnego marmuru. Udało się jednak zdjąć tę warstwę farby — i teraz wszystko wygląda po dawnemu.

Zwiedziliśmy katedrę i kolegiatę, i znów wychodzimy na Rynek, ale tym razem widzimy coś nadzwyczajnego: przecież tu aż mieni się w oczach od łowickich wełniaków! poschodziły się kobiety na targ, i od pasiastych spódnic cały Rynek stał się kolorowy. Jak idą takie Łowiczanki, wystrojone, proste, ściśnięte w pasie, coraz to szersze ku dołowi, jak dzwony, w sznurowanych bucikach o wysokich obcasach, obwieszane koralami i paciorkami, mieniające się wszystkimi barwami, to, naprawdę,

aż oczy w siebie biorą. Jakby nie prawdziwe, żyjące kobiety, tylko zrobione z czegoś kolorowe śliczne lalki przygotowane do oszklonej gablotki na Wystawę Przemysłu Ludowego.

Dziesięć gmin obejmuje ziemia łowicka i we wszystkich dziesięciu gminach panuje ten śliczny łowicki strój i jeszcze dalej sięga na sąsiednie powiaty. Mężczyźni noszą spodnie z pomarańczowego, pasiastego wełniaka, ale nawierzchni nakładają długie czarne kapoty o bardzo skomplikowanym kroju, więc nie wyglądają tak kolorowo. Koszule od święta mają haftowane, jak u kobiet, zadzierżgnięte amaryntową wstążką u szyi, białe sukmany i szerokie, czarne kapelusze. Wielu z nich jednak nosi się zwyczajnie, po miejsku, kobiety natomiast trzymają się swego stroju, choć w gruncie rzeczy jest on bardzo niewygodny.

Bo tylko pomyśleć: sam wełniak na spódnice waży 10 funtów, a wykrochmalona podszewka, a fartuch? Spódnica musi być bardzo mocno zaciśnięta w pasie, żeby się nie obsuwała własnym ciężarem przez biodra. Opowiadano mi, że jak się łowiczanka stroi na święto, to sama nie da rady; musi ktoś silny docisnąć paski od spódnicy. Jak jest zimno, to noszą jeszcze kaftan, o pasach na poprzek, i jeszcze zapaskę, t. j. bufiastą pelerynę z tego samego wełniaka. Małe dziewczyneczki, trzy, czy czteroletnie wyglądają w tym stroju zupełnie nieprawdopodobnie.

W każdym gospodarstwie hodują przynajmniej po kilka owiec, żeby mieć własną wełnę, oddają ją do gręplarni, przędzalni i farbiarni do miasta, a potem na własnym warsztacie tkają „własną modą“.

„Moda“, to znaczy dobór barw i szerokość pasów. Jak się łowiczance podoba „moda“ sąsiadki — to usiłuje jej wzór skraść. Zwyczaj każę „krać modę“ w kościele na Zielone Świątki: chyttrze i podstępnie wymierzyć na patyku szerokość pasów na cudzej spódnicy, dobrać takie same kolory, i utkać sobie taki sam wełniak. Stary gospodarz opowiadał mi, że za jego dzieciństwa moda była na wełniaki wyłącznie zielone i czarne, i dopiero potem zaczęły się pojawiać „mrażki“ czerwone, a teraz ot do czego doszło: pasy czerwone, zielone, niebieskie, brązowe, a już najwięcej „dubeltowe“¹⁾. Taka „moda“.

W mieście jest zakład tkacki, wyrabiający kilimy na sprzedaż: mówili mi tkacze, że pracując po 8 godzin dziennie mogą utkać cztery, do pięciu metrów pasiastego wełniaka. Obok w sklepie sprzedają go po 10 zł. metr, — a płótno w takie same pasy — po 3 złote.

Prócz wełniaków dwie rzeczy uderzają w łowickiej chacie: zwieszający się od pułapu „świat“ — i wycinanki na ścianach.

„Świat“ zrobiony jest ze słomek i kolorowych płatków bibułki i wygląda jak misterny i lekki pajak, czy kandelabr, a wycinanki, z kolorowego błyszczącego papieru, naklejonego na biały, wyglądają, jak malowane, bo każdy kwiatek składa się z paru warstw w różnych barwach, czy odcieniach.

Wszystko to razem wzięte sprawia, że wewnątrz

chaty wygląda kolorowo i ozdobnie. Biedy wielkiej niema, gdyż ziemia jest naogół dobra, choć podmokła, a gospodarze należą do oświeconszych. Charakterystyczne jest to, że synów swoich posyłają chętnie do sejmikowej Szkoły Rolniczej, podczas gdy w wielu szkołach rolniczych spotyka się uczniów z najdalszych okolic, a wcale nie z najbliższych. Tu właśnie jest inaczej: tej wiosny z 35 absolwentów, którzy opuścili szkołę, 30 powróciło na własne gospodarstwa w Łowickiej Ziemi.

Wogóle Łowicka Szkoła Rolnicza wzięła sobie za zadanie kulturalne oddziaływanie na najbliższą okolicę, i w tym celu utrzymuje ciągły kontakt ze wsią. Uczniowie jeżdżą z referatami właśnie do swoich rodzinnych wsi, aby, mając za sobą poparcie i autorytet szkoły, uczyli się zawczasu przełamywać trudności, jakie ma do zwalczania prorok we własnym kraju.

Szkoła mieści się we wspaniałym nowym gmachu o parę kilometrów od miasta. Ma własny grunt i własne wzorowe gospodarstwo. Przeznaczona jest wyłącznie dla synów gospodarskich, pracujących na własnej roli. Kurs trwa osiemnaście miesięcy.

Szkoła rolnicza i seminarjum nauczycielskie męskie, to wybitne placówki kulturalne na tej łowickiej ziemi. Seminarjum mieści się w starym, pięknym gmachu poklasztornym o grubych murach i łukowatych sklepieniach. Seminarzyści odbywają praktykę na miejscu w tak zwanej ćwiczeniówce.

Oglądaliśmy doskonale urządzoną i zaopatrzoną pracownię przyrodniczą. Okazy zwierząt i roślin, zwłaszcza wodnych w akwariach (bo w tej mokrej łowickiej ziemi najbogatszą jest fauna wodna) zmieniane są często, żeby dać możliwość obserwowania coraz to nowych. W gabinecie zoologicznym pełno wypchanych ptaków i ssaków krajowych, prócz tego zbiory mineralogiczne, preparaty i sześć mikroskopów.

Tak niedawno zwiedzałam rzymskie szkoły, które w tej dziedzinie nie posiadają nic, ale to literalnie nic. A nauka przyrody odbywa się tam starym sposobem, tylko słownie, bez żadnych okazów, tak jak u nas przed trzydziestu laty. Muzea, galerje, zabytki, krajobrazy, pałace — to oni mają cudowne, ale szkoły, to my mamy stanowczo lepsze!

Wspominałam o muzeach. Przecież i tu w Łowiczu zapoczątkowane jest małe muzeum stworzone pracą, wolą i umiłowaniem jednego człowieka: w dwóch salkach starego gmachu na rynku stoją już świeżo pomalowane szafy i oszklone gablotki i czekają, żeby ułożono w nich to, co dotąd jeszcze zawarte w skrzyniach stoi po różnych lamusach i strychach. Niestety, nie doczekał tej chwili twórca tych zbiorów, p. Tarczyński.

Przez cały dzień od rana do wieczora, oprócz seminarjum i szkoły rolniczej, zwiedzaliśmy różne instytucje miejskie i sejmikowe: ochronkę, przytułek dla starców, szpital. Już wieczór, już ostatni nasz pociąg niedługo odchodzi, a my jeszcze stoimy na rynku i patrzymy: pomarańczowe i żółte wełniaki znowu zalały cały rynek barwą słońca — to Łowiczanki wracają z nabożeństwa majowego.

Helena Boguszewska.



¹⁾ Mocno żółte, pomarańczowe.

B. JKI ZŁOTOGRODZKIE.

Z. REUTT - WITKOWSKA.

RYCERZ BIAŁY, CZARNY I MYSZY

Było to bardzo dawno. Może sto, może tysiąc lat temu.

W srebrnej zbroi, na siwym rumaku wjechał Biały Rycerz do miasteczka. Na rynku stanął pod ratuszem; a dzień był targowy.

Pierwej tedy wyszli naprzeciw Rycerza zdziwieni rajcy, pytając o powód przybycia — tak, w pełnej zbroi; bo czas był spokojny.

Odpowiedział im Biały Rycerz, jako z Grodu Złotego na bój tu przybył z Rycerzem Czarnym, wrogiem swym dostojnym, co od północy nadsiąga w zbroicy stalowej, a koń jego czarny, jak noc.

Ułękli się rajcy. Padł strach na burmistrza. Zwołano wnet radę starszyny miejskiej na ratusz; ale rada rozeszła się, skoro tylko dzwon południa ogłosił — a pora to była obiadu.

Został Biały Rycerz przed ratuszem. Kopję pochylił — czeka.

Ciaśniejszym coraz, natarczywszym pierścieniem tłoczą się przekupki; opuściły barwne kramy. Nabywcy o tej porze spodziewać się trudno i złodziej spi kędyś pod płótem!

Gwarzą przekupki. Ale zagadać do Rycerza nie śmie żadna. Sprzykrzyła się im wreszcie Białego Rycerza nieruchomość i powoli, kiwając głowami, wracają pod namiotki z płótna.

Znowu Rycerz sam został — czeka.

...Co za wrzask nagły buchnął od strony wąskiej uliczki naprzeciw ratusza? Nic to! Chmara dziatwy na rynek wypada ze szkoły, po domach śpieszą rozejść się na wsze strony. Lecz pierwej zdumieć im przyjdzie bardzo na widok Rycerza.

Zgasła przed nowem zjawiskiem wrzawa dziecięca; odczuły dziw serca, biją żywiej, ni to na radość, ni to na trwogę?! — Rozchodzą się dzieci gromadkami, w milczeniu, o które sędziwy bakałarz napróżno dopomina się co dnia.

Znowu Rycerz sam został. — Otóż nie! właśnie że nie sam!

Nadleciał bo wiatr, wionął rynkiem i tuż przed głową spuszczoną rumaka podjął z pyłu kilka okruszyn słomy — okręcił i pognał płasem wirowym. Koń głową wstrząsnął, kopytem grzebnął niespokojnie; cofnął się krokiem. Dźwięczą uzdeczki, rycerz trendzle skraca...

Wtedy pierwsza sina po niebie przewinęła się właśnie błyskawica. Wnet parę łez grubych, ciężkich, rodem z ołowianej chmury utonęło w mlecznej falistej grzywie rumaka.

Daleki grzmot zbudził co czujniejsze przekupki. Chwytają kosze, zwijają namiotki, budzi się reszta niemrawa.

Ulewa nie zastała już na rynku nikogo. Tylko Rycerz Biały sam pozostał na siwym rumaku. Na strzeżonach wspięty, czeka.

...Co za gwar, a co za rejwach po domach, kiedy bliższy grom zbudził wreszcie i zacnych poobiednią drzemką rajców! Przypomniała sobie rada Czarnego Rycerza. Piorun każdy zwiastował zbliżenie się wroga: przecie nikt nie ważył się iść na odsiecz Białemu Obrońcy.

Skończyło się na babskich lamentach. Skończyło się nazajutrz na solennej wotywie w kościele parafjalnym, bo Rycerz Czarny nie przybył. Na rynku, pod ratuszem stał Rycerz Biały na siwym rumaku, w świetnej zbroicy oba. Czekają.

* * *

Skończyły się upalne dni żniwa. Nadeszła wczesna jesień rudozłota. Już nikt na dostojną postać Białego Rycerza nie zwracał uwagi. Mijali go radni, dążący na salę posiedzeń. Przekupki wrzeszczały, drałując tuż mimo niego. I coraz chętniej dzieciom w szkole i w domu powtarzano: człowiek to jakiś był grzeszny, którego Pan Bóg za karę w głąz przemienił.

Zniknął strach, zniknął szacunek. Wróble grały w chowanego po całym końskim grzbiecie, opukiwały starannie łuski zbroi, czy niema tam kaszy jaglanej?

Razu pewnego synek burmistrza pokazał wielkiemu grzesznikowi język. Odtąd najmilszą zabawą dzieci było wysuwać języczki długie i czerwone przed wielkim panem grzesznikiem, a także ciskać suchym grochem — kto w nos trafi! a to żeby w karze dopomóc Panu Bogu.

Rycerz stoi. Czekaa... Na bój!!

* * *

Wtem gruchnęła wieść po kraju: „Idzie!”
Idzie — kto? Myślicie pewnie: Czarny Rycerz!
Nie. Idzie wielkie wojsko małych, szarych myszy i żre po drodze wszystko ponoć, co najładniejsze i najbardziej lubę.

Jednego wieczora wiedziano już napewno, że Myszy są tuż pod miastem. Jest ich więcej, niż kamieni brukowych po wszystkich ulicach, o, więcej znacznie! Ludzie zebrali się w kościele. Domy zaparali. Było wielkie bicie w dzwony — aż ręce z trwogi zemdlały. Słychać wyraźnie szelest łapek mysich tuż pod miejską bramą.

Na rynku, pod ratuszem, stoi Biały Rycerz. Wyteża wzrok, wyteża słuch — czeka.

* * *

Na bladym niebie lśnią bledsze jeszcze gwiazdy wieczorne. Cisza... i ten szelest pod murami, złowrogi.

...Oto już wdrapały się Myszy na mury i poszły wyjadać.. co? Kwiaty po zieleńcach; trafiły do szkoły miejskiej i wygryzły panu bakałarzowi ślicznie pomalowane abecadło w elementarzu. Od tej pory zaczął pan bakałarz utyskiwać, jakim to strasznym przekleństwem jest uczyć cudze dzieci, i dzieci robiły się coraz niesforniejsze, choć nie śmiały po dawnemu bazgrać po abecadle czerwonym ołówkiem i niebieskim ołówkiem; zato kłamały, jak z nut, i kradły wiśnie w ogrodzie.

Myszy zjadły też świece w kościele, jednak ludzie nie pomstowali na nie bardzo, gdy ze świtem oddalił się szary zastęp, a mąki ni sadła, ani żadnej dobrej rzeczy nie brakło w mieście.

Od tej przedziwnej nocy wierni zasypiali na sumie, i na kazaniu — i



przed kazaniem, ale nikomu do głowy nie przychodziło, aby też Pan Bóg miał gniewać się za to na pocziwych ludzi tak, jak rozgniewał się na głupca i zarozumialca, który, podobno, niegdyś... dawno, może temu lat sto, a może i tysiąc, przyjechał był do miasta i udawał, że potrafi coś... czego wogóle

nie trza potrafić nikomu! Ażby go były i Myszy zjadły... gdyby zdążyły.

Jeno, czyliby go też ugryźć podolały, straszydło kamienne, same, co pustemi oczyma wdał patrząc, dostojnego wroga swego po wieczny czas czeka? — Nie mówią akta grodzkie

G. A. B O R G E S E

VALENCIA

Rodem z Sycylii G. A. Borgese jest jedną z najgłośniejszych postaci w świecie literacko-prasowym Włoch, a to ze względu na swą różnorodną, prawdziwie wartościową działalność czy to na polu publicystyki, czy też w dziedzinie poezji i powieściopisarstwa, czy wreszcie w charakterze znakomitego uczonego i krytyka, a ostatnio nawet dramaturga.

Artyzm jego wybuchł z całą siłą wraz z wybuchem wojny europejskiej.

Będąc już dojrzałym, czterdziestoletnim mężczyzną, wydał w roku 1919 tom „Poezji“, po kilku zaś latach powieści: „Rubé“ i „I vivi e i morti (Żywi iumarli)“, które zyskały powodzenie ogromne u czytającej publiczności, oraz uznanie krytyki.

Jako dziennikarz, znany już był około dwudziestego roku życia.

Od paru lat cieszy się sławą wybitnego profesora estetyki na uniwersytecie w Medjolanie.

W załączeniu znakomita nowela, ilustrująca z finezją obserwacji życie czasów obecnych (dancingomanja, bezmyślność, zatracenie poczucia odpowiedzialności moralnej, społecznej).

(przyp. tłum.).

Ze wszystkich nowoczesnych utworów muzycznych do tańca najbardziej mi się podoba Valencia.

Ze wszystkich, które znam, oczywiście. Lubię bardzo tańce, zwłaszcza najnowsze, nie umiem jednak, czy też nie mam odwagi tańczyć, co zresztą na jedno wychodzi. Przyczyną podobnej nieśmiałości jest może to, że każdą rzecz traktuję poważnie i uważam, że prowadząc jakąś piękną, nieznaną mi bliżej kobietę w tańcu to naprzód, to znowu wtył, czy też w prawo lub w lewo, wobec przyglądającej się dokoła publiczności, przyjmuję na siebie pewną odpowiedzialność. A muszę jeszcze dodać, że do przesady może mam wysubtelnione poczucie muzyczne i słuchając jakiegoś utworu do tańca, wczuwam się niemal w każdą nutkę, porywającą mię za sobą zarówno w pasażach, jak synkopach, dzięki czemu mógłbym niewątpliwie pomylić takt i zasłużyć na nazwę niezgrabnego raczej, niż subtelnego. Gdyby to było dawniej, bałbym się nadeptać tren sukni.

Nie tańczę więc, lubię jednak stać i patrzeć, zazdroszcząc innym tańczącym, zwłaszcza gdy na instrumentach jazz-bandu zabrzmie Valencia. Zdawałoby się, że wraz z pierwszymi uderzeniami pałeczki o bęben, melodia rozpryska się na atomy, jak jakaś substancja krucha, wydając jednocześnie i cierpką, i miłą, i okrutną zarazem woń. W olbrzymim hall'u, na wolnej przestrzeni pomiędzy orkiestrą, a skórzanymi fotelami, snują się, falując, obejmujące się pary. Niezbyt powabnie jednak wyglądają wśród tłoku, wyciągające się wgórze, jak długie kliny, panie i mimowoli chce się opuścić oczy. Również i wygląd główek osób płci pięknej jest daleki od wdzięku. Niema już miłch kędziorków, ani war-

koczy. Z pod krótko ostrzyżonych włosów ukazują się nagie karki. Wymiana słów jakaś szybka, nerwowa, przerywana. Uśmiechy chłodne i krótkie, jak blask otwierającej się wśród promieni słonecznych szyby okiennej, albo też zamarłe na policzkach, jak uśmiech łagodnego obłąkańca.

Spędzałem długie, popołudniowe i wieczorne godziny, na bezczynnym przyglądaniu się tym tańcom po raz ostatni w Strand Palace, gdzie mieszkałem w przeciągu parotygodniowego wypoczynku swojego. Niesłychaną wprost wydało się rzeczą, gdy kiedyś orkiestra zagrała dawnego walczyka. Niektórzy próbowali go tańczyć leniwie, uśmiechając się pobłażliwym ubolewaniem nad dawnymi niewybrednemi tańcami. Jakiś jednak starszy i otyły pan we fraku nie wstydzi się swego zapału, którego się jeszcze nie pozbył i tańczy zawrotnie, pełen upojenia, wraz z towarzyszką nieco przytyłą, jak i on i nieco już przejrzałą. Podziwiamy więc znowu owe sławne „wiry taneczne“, czyli raczej jeden jedyny wir, jak żywa fryga, kręcąca się w sali, jak jakiś mały cyklon, uwięziony w cieplarni. I ten wir taneczny nas śmieszy. Nie możemy go już tak kochać, jak tańce nowoczesne, miarowe i szydercze, przeterminowane. Jak całe nasze życie obecne.

Ucichła orkiestra i pary taneczne wróciły na miejsce. Słychać już tylko brzęk talerzy i kieliszków, wraz ze szmerem obojętnych rozmów. Natężywszy jednak słuch, nie trudno rozróżnić dochodzące od czasu do czasu z poza olbrzymich okien westchnienie morza i brzmiące jeszcze echo walczyka w powietrzu. Jakże się dziwnym wydawał, gdy go tańczono! A jakże, mimo to, za nim się tęskni w wspomnieniu! Tańce dzisiejsze, jakby zmaterializowane, mogą się podobać chwilowo, nie pozostawiają jednak po sobie tęsknoty. Do tak niedawnego tanga nikt już nie tęskni.

* * *

Mijały pełne jednostajności dni. Miałem już dosyć wszystkiego sam, jak również i towarzysząca mi żona.

W hotelu goście się nieustannie zmieniali, wszystko jednak pozatem było bez zniiany. Gdyby nie dobre wychowanie, poobgryzłoby sobie z nuddów paznogie.

Zawiedliśmy się, pragnąc wypocząć. Zmęczyło nas raczej dziwne osamotnienie wśród tłumów. Nabraliśmy wstrętu do tego bezmyślnego towarzystwa, które nie zna innej rozrywki, jak gra w pokera, lub tańczenie fox-trotta.

Dokoła była jakby jakaś pustynia. Pustynia wielkiego hotelu z iskrzącymi się brylantami, ze sznurami pereł, z obnażonymi plecami, ze złotymi zębami w ziewających dyskretnie ustach.

A mimo to jednak nie możemy się zdecydować na wyjazd. Ofiarą z naszej strony jest już i to, że się znajdujemy na uboczu. Zamiast w hall'u, przebywamy w dniach ostatnich w sali tuż obok, ja z książką w ręku, żona z robótką. Z hall'em wszakże łączy nas olbrzymi kwadratowy otwór w ścianie, pozwalający nam widzieć wszystko przy najlżejszym odwróceniu głowy. Słyszymy zaś, chociażbyśmy nawet nie chcieli, tak jakbyśmy byli w samym hall'u.

Dziś zaszło coś nowego. Pierś moja przepelniona smutkiem, który dławi mi gardło, sam nie wiem dlaczego, czy z powodu jakiejś nieogarnionej tęsknoty, czy też jakiegoś tajemniczego wyrzutu winy nieznaney. Jest pół do piątej. Za chwilę muzyka zacznie grać. Jakże potrafi „rozerwać mię“ muzyka o smutnem obliczu, grający na zmianę na trzech instrumentach wesołych: na pile, fleksyfonie i gwizdku ogłuszającym? Jestem pewien, że nie wytrzymam i będę musiał uciec. Słońce marcowego popołudnia świeci jaskrawo. Morze, przy wietrznej pogodzie, wzburzone po raz pierwszy, odkąd tu jestem, bije, pieniać się, o skały. W zamkniętej jednak sali wyda je się, że głuchy ryk morza wychodzi jak gdyby gdzieś z pod ziemi.

Jakieś dwie cudzoziemki, matka i córka, usiadły naprzeciwko nas w rogu po drugiej stronie sali tak, by mogły widzieć hall. Przybyły wprawdzie w przeddzień jeszcze, lecz teraz dopiero ukazały się publicznie. Widziałem tylko panienkę w błękitnej sukience, wchodzącą dziś rano z prawdziwym wdziękiem na oblane światłem słonecznym, jak drabina rajska, schody od strony morza.

Cudzoziemki niewątpliwie przybyły z Północy, lecz z jakiego kraju? a chciałbym również zapytać, z jakich czasów? Wyglądem swym przypominają porcelany z Meissen. Subtelna cera owalu ich twarzy ma w sobie coś z Settecenta.

Matka jednak, pełna jeszcze życia, nie ma niestety białej peruki na wyniosłem czole, dwa piękne brylanty natomiast iskrzą się w uszach. Córka, najprawdziwsza blondyneczka, nie obcięła wprawdzie włosów, zebrała je jednak w sposób imitujący uczesanie dzisiejsze. Sukienka wszakże bezlitośnie została obcięta przez nowoczesną krawcową. Lecz dziwny ma urok głęboki błękit atlasu obszytego wstążeczkami srebrnymi. Zupełnie jak barwy pełni księżycowej, lub muzyka Mozarta!

— To ta — szepce mi żona.

— Co ta?

— To ta — powtarza, potem ciszej jeszcze dodaje: — chora.

Tak, mówiono mi rzeczywiście o jakiejś świeżo przybyłej najpiękniejszej mieszkance hotelu, że jest chora na suchoty i niema najmniejszej nadziei, by mogła powrócić do zdrowia. Tak, więc to jest ta. I któżby to mógł powiedzieć? Pomadki do ust i pudru użyła tak dyskretnie, że twarz się wydaje lekko zarumieniona, jakby dzięki jakiemuś dziecinnemu zażenowaniu się, lub radości. Z całego zresztą ułożenia przebija niewinność. I zjawia się dziwne jakieś pragnienie ujrzenia łez w tych głębokich, niewinnych oczach niebieskich, by się móc litować nad niemi i wierzyć na nowo w ból.

Słychać jakieś zamieszanie w hall'u, potem ktoś wchodzi na podjum jazzu. Za chwilę zabrzmie orkiestra.

Nieco otwarte jej usta jakby zastygły w odruchu szczerzej ciekawości, źrenice zaś zalsniły. Sama jednak tańczyć nie pragnie. Będzie tylko patrzyła z rozkoszą: jak tańczą inni.

Trzej jednak panowie, siedzący przy kartach, wstają od stolika, zbliżają się ku przejściu, by stąd obserwować tańczących. W ten sposób jednak zasłaniają jej widok. Porusza więc nieco ustami i ręką, wydobywając z siebie ciche westchnienie:

— Ach!.. Ach!..

Była to ledwo dosłyszalna, nieco żartobliwa skarga jakby jakiejś dorastającej dziewczynki, której zabrano zabawkę. Rezygnując z widoku, pochyla głowę ku piersi, lecz oczy lśnią jeszcze.

Sam tylko ową skargę słyszałem. Trzej panowie, stojący w przejściu, nic nie spostrzegli. Wstają więc, by im zwrócić uwagę, lecz w tej właśnie chwili, czy to ze znudzenia, czy też dzięki jakiemuś wewnętrznemu niepokojowi, który im się udzielił od owego, nie słyszanego przez nich, westchnienia, poruszyli się sami, cofając się w stronę stolika, znajdującego się w głębi sali. Wzrok ich, prześlizgnąwszy się, nie zatrzymał się wcale na nieskalanych włosach blondynki. Widok został znów otwarty.

Pełna błogiej wdzięczności, przygląda się rozpoczętemu właśnie tańcowi.

* * *

Tak, ze wszystkich nowoczesnych utworów do tańca, najpiękniejszym jest Valencja.

Jest może nawet z pośród znanych mi jedynym, za którym mogę tęsknić, który pozostawia po sobie wspomnienie jakby dreszczu jakiejś miłej pieśszoty. Ile razy go słyszę, przeżywam to samo wspomnienie.

Pałeczki wybijają takt, wytwarzając dziwną jakąś atmosferę miejscowości, w której już pewno nigdy nie będę, do której już nigdy nie przyjmę zaproszenia. Pary taneczne kołyszą się, płynąc leniwie po rozbujałych falach rytmu. Jakiś chłopczek w krótkich spodeńkach tańczy ze swoją siostrzyczką, niemal przebiegając hall wesoło i rączo, jak gdyby grano galopa.

Muzyka to przycicha, to umilka zupełnie na chwilę, czyniąc wrażenie orkiestry, znajdującej się na oddalającym się od brzegu statku, gdy wiatr to wzmaga, to przytłumia jej dźwięki.

Młodziutka cudzoziemka o wielkich, płomieniejących oczach, pogrążona w zadumie. Samotne serce jej tańczy. Rumieńce na twarzy bardziej się jeszcze wzmocniły.

W oczach mych zjawiają się łzy, lecz nie staram się je ukryć.

— Co ci jest? — odzywa się do mnie żona. — Co ci jest? Czy się czujesz niedobrze?

— Eh, — powiadam, korzystając z crescendo jazzu — jeśli się dotychczas nie przystosowałem do życia, nie przystosuję się już nigdy. Spójrz na nią! — wskazałem na cudzoziemkę.

— Dajże spokój — mówi niemal z gniewem. — Jak to wygląda? Mógłbyś się przynajmniej odwrócić!

Tak, ma słuszność. Mogę się przynajmniej odwrócić. Zwracam się więc ku oknu. Morze bardziej błękitne od nieba jest już spokojne. Mam wrażenie, że widzę oddalający się okręt, z którego dochodzą na brzeg, pełen woni kwitnących ogrodów, dźwięki muzyki.

Płaczę już, nie kłepując się wcale, jak dziecko, z twarzą w dłoniach, szlochając.

Jakże dziwną jest rozkosz cierpienia, gdy się wie, że się cierpi za kogoś!

Ból ustał. Teraz, otarłszy oczy, mogę się już pokazać. W tej właśnie chwili orkiestra przestała grać. Tańczący jednak, przystanąwszy na środku hall'u i klaszcząc w dłonie, domagają się powtór-

zenia. Valencja więc rozpoczyna się na nowo. Pałeczki drobiażkowo takt.

Usłyszałem delikatny kaszel dziewczyny i mimowoli obróciłem się ku niej. Spojrzała po raz pierwszy na mnie. Zmęczony mój wzrok, zaczerwienione oczy przykuwały jej uwagę. Patrzyła chwilę ze współczuciem. Potem, pochyliwszy się ku matce, szepnęła jej coś do ucha.

Usłyszałem jeden tylko wyraz: „unglücklich!” Tak, słuch mi nie mylił. Rzekła, że muszę być bar-

dzo „nieszczęśliwy”, skoro mogę płakać publicznie, skoro nie mogę ukryć swych łez.

Jeszcze raz spojrzała na mnie życzliwie, poczem lśniąca jej oczy znowu się skierowały w stronę tańczących.

Była już szczęśliwa, że mogła komuś współczuć. Współczuła mi, nie domyślając się nawet, jak cierpiałem za nią. W blasku jej oczu czystych, jak morze, ból mój ostatecznie się rozwił w milczeniu

Przel. z włoskiego F. Baturewicz

CECYLJA WALEWSKA

PANNA KAMILICIA

Historja prawdziwa

I.

Po trzydziestu latach walki z myszami i robactwem w starym, rzadko kiedy odnawianym domu, którego jedyną zaletą był ogród naprzeciwko frontowych okien — rozkoszne złudzenie zamiejskiej sielanki — postanowiliśmy nareszcie wyprowadzić się.

Było to w pierwszym roku okupacji niemieckiej, kiedy — po wyjściu moskali, po uprowadzeniu z sobą polaków na służbie rządowej i po usunięciu obcych poddanych — nagle opustoszały domy i można było dostać za bezcen najwykwintniejsze mieszkania.

Czekały na nas dawno już upatrzone cztery niewielkie, ale słoneczne, wysokie, czyste pokoje w jednym z tych żelbetonowych drapaczy południowej strony miasta, które przed wojną dostępne były jedynie dla kieszeni bogaczy, lub.. wiecznych dłużników.

W dżdżysty dzień marcowy pożegnaliśmy stare progi, zostawiając na strychu całe paki nagromadzonych w ciągu lat nieużytków, a po kątach, w ścianach, pod stropami niskich sześciu pokoi z oknami na ogród dołączyliśmy naszą, która już nie wróci — zamknięty bilans życia, które mogło powlec się za nami tylko wspomnieniem.. Młodość naszą, wloty i opady nadziei, wiary, miłości — statykę i dynamikę pragnień.

Powiedziane było, że każdy — odchodząc — weźmie, co sam uzna za najpotrzebniejsze. Mąż mój zabrał pęk kluczy, nie dowierzając, aby ktokolwiek prócz niego mógł trafić w serca zamków przy kłószczach i kufrach, wysłanych wozem Syreny. Ja — zapakowałam wszystko, ale szłam z pustymi rękami. Tak chciało mi się zostawić myszom na pożarcie każdy stary trzewik, każdą znoszoną spódnicę, nawet każdą przeczytaną książkę, żeby z zewnątrz i od wewnątrz zacząć nowe życie.

Panna Kamilcia wzięła z sobą ręcznik, szczoteczkę do paznogi, pachnące mydełko i puszek z pudrem w chusteczce do nosa.

Panna Kamilcia — która ze starych progów zabierała przedewszystkiem młodość swoją..

Miała lat 25, a wyglądała na szesnastkę. Tak wiecznie śmiały się jej usta z za lśniących zębów, rozdzielonych na przedzie małym odstępem, który oznacza podobno figlarną zalotność. Tak szczerze, dziecinnie, naiwnie patrzyły szafirowe jej oczy z pod rzęs czarnych, długich i zachodzących na siebie łuków brwi.

Panna Kamilcia.. niby służąca nasza, tak zwana „do wszystkiego”, ale właściwie młoda gospoia która od rana do wieczora sprzątała, szorowała, czyściła z zjadłością holenderki sprzęty nasze i małemi swojami rączkami przygotowywała nam obiady, śniadania, wieczerze. W chustce na głowie z za której sterczał tylko mały nosek zadarty, chodziła z rana do miasta, żeby ufrizować się po skończonej robocie i być już panią w domu do opieki nad dwojgiem starych, spracowanych ludzi.

Łagodna, słodka panna Kamilcia, która nawet na psa krzyknąć nie umiała i krezusa, czy żebraka witała zawsze uśmiechem pogodnym.

W starym domu zostawiła jeden flircik niewinny — z okna do okna — po drugiej stronie ulicy.

W ogrodzie naprzeciwko starego domu były biura komory celnej. Po wyjściu moskali zajęli je Niemcy na lazarety i oddziały dezynfekcyjne. Na dole — za trzonami nagich w zimie kasztanów — pracował codzień od rana do późnego popołudnia młody szczupły wojak z czuorną w czarnego jeża i dyskretnie podciętemi wąsami. Zobaczywszy raz, drugi, trzeci Kamilcię, gdy wytrząsała ściereczkę od kurzu, za czwartym wskazał na serce, że kocha. Za piątym, przysłał na górę Ślązaka — sanitariusza z oznajmieniem, że jest hrabią i bardzo by rad poznać bliżej panią z trzeciego piętra w czerwonej chusteczce na głowie. Proponuje spacer w niedzielę samochodem, a potem — kino, cukiernię, kawiarnię.

Panna Kamilcia podziękowała za jedno i drugie, ale że to był hrabia — pozwałała i później uwielbiać się z okna do okna.

Hrabia — krew rodowa, jak jej..

Dalekie, dziecinne, ale kojące dotąd jeszcze żywym cierniem wspomnienia. Ból, który — z latami — wgrzyzał się coraz dokuczliwiej. Znikał uśmiech, ścigały się brwi pod grzywką złotych włosów nad niskim greckim czołem. Teżała ta wewnętrzna vibracja, która pobudzała do ciągłych wybuchów radości. Treść duszy wypełniał jeden obraz. Cichy wieczór — matka, ojciec, ich trójka i opowiadanie — szeptem — o dziadku, który zginął w powstaniu, o dobrach, które skonfiskowali moskale, o tytule hrabiowskim, który przepadł na zawsze bo zginęły papiery — o tułaczce ojca po lasach i jarach. Opowieść o służbie dziadka dla Polski — o kłótwi nad całym rodem.

Siostry żyły się z wyrobniczą swą dolą. Ona — panna Kamilcia — nie mogła. Czuła, jak na dnie duszy osiada smutek śmiertelny i grąży, grąży coraz dotkliwiej.

„Hrabska krew w poniewierce...”

Nocą zrywała się od poszumu słów, które kłuły rdzawem ostrzem.

W ciągu dnia kaskadami śmiechu głużyła wspomnienia i furją pracy — myciem, szorowaniem, czyszczeniem. Ale — gdy przychodził zmierzch...

W starym domu gwarno było, jak w ulu. Znali się wszyscy. Do kuchni, albo do pokoju panny Kamilci przy kuchni spadał ktoś co chwila — dziecko sąsiadów, znajoma z przeciwka, poseł hrabiego — Niemca. Dzwonili domokrażni przekupnie — piekarz, mleczarka, kobiety z jajami, miodem i masłem. Każdy przynosił jakąś nowinę. Ten widział konie zielone i taki dziki naród na nich z przewleczonemi przez nos kółkami, że rzuciłby się na ludzi w ulicach, gdyby nie pilnowało ich prawdziwe nasze (t. zn. rosyjskie) wojsko. Tamten pierwszy zobaczył rannych w wozach z łózkami na trzech piętrach. Ktoś inny przyjrzał się szpitalowi na Dworcu Wiedeńskim, gdzie dawniej wychodzili podróżni.

Wszystko gotowe — czeka. Łóżka, jak z salonu i nowiuteńkie dery. Ktoś czwarty opowiadał o jenerałach przed Bristolem. Co za parada! Złoto, czerwien, straż konna. Samochody jak lustra...

W dniach bombardowania wzmogły się nowiny. Wiecom i rautom nie było końca. Krzywiła się panna Kamilcia na „takie” towarzystwo, ale — że nie umiała być niegrzeczną, więc każdego witała sygnaturką śmiechu, każdemu rzucała pytanie, wywołujące potoki odpowiedzi.

Przycichała w tej wrzawie mroczna gędzba jej duszy. Rozwiewały się żalodne obrazy. Zwycięzała zjawa realna ze swoim ogromem wrażeń, których myśl słabiotka nie umiała opanować i ująć w normę logiczną przyczyn i skutków.

Na parę dni przed przeprowadzką naszą Ślązak-sanitarjusz przyszedł znowu w misji od pana hrabiego.

Tym razem miał nie wyjść, dopóki nie dostanie przyrzeczenia, że panienska w czerwonej chusteczce zgodzi się pojechać na spacer.

— Dobrze.

Kamilcia obiecała solennie i nazaczyła schadzka tego dnia jeszcze o 8 wieczorem przy najbliższej cukierni.

Siedziałam nad gazetami, gdy koło 7-ej wpadła do mnie, prosząc, żebym pozwoliła jej ubrać się w spodnie, marynarkę i kapelusz pana, a nawierzch zarzucić tę włoską pelerynę, której — szczęściem — dziś nie wziął pan na siebie.

— Po co ci ta maskarada? —

Wybuchnęła tym swoim śmiechem serdecznym, który mnie i męża aż drażnił czasami — tak nie odpowiadał grozie szalejącej wojny i niewoli okupacji niemieckiej, dławiącej dech w piersiach.

— Chcę nabrać jednego Niemca...

I opowiedziała mi całą historję ze Ślązakiem, z hrabią i obiecaną schadzka.

— Proszę pani, on przyjdzie napewno przed tę cukiernię. Ja sobie będę chodziła po drugiej stronie i patrzyła na jego głupią minę.

Znowu kaskada śmiechu.

Nie pozwoliłam jej iść samej. Ale — z wyborem towarzyszy była trudność. Żadna służąca. Przyjaciółek nie miała. Więc — chyba ta bona z II piętra, córka urzędnika, porządna dziewczyna.

Śmiały się do rozpachu, obliczając, jak długo Niemiec będzie czekał na umówioną randkę i wyobrażając sobie, jak będzie wściekał się ze złości, gdy wszystko spali na panewce.

Wyszły cichutko frontowemi schodami, nie zauważone na szczęście przez stróża i niepoznane przez sąsiada z I piętra, który je minął.

Wróciły po godzinie — rozbawione, nie dając przyjść do słowa jedna drugiej.

Hrabia spacerował przed ową cukiernią, zaglądał do wnętrza, przeszedł na drugą stronę ulicy. Zatrzymał się chwilę przed niemi, zajrzał w oczy towarzysze Kamilci. Na nią samą nawet nie spojrział. Wkońcu zaklął, wsiadł do samochodu, który czekał na niego i odjechał, a one dusiły się ze śmiechu.

W godzinę później — składając ubranie mego męża i chowając je do szafy, Kamilcia powiedziała:

— A jednak — gdyby to był polski hrabia, nie wystawiłabym go tak na pośmiewisko...

Zastanowił mnie poważny, uroczysty ton jej głosu i niesamowicie bolesny wyraz oczów.

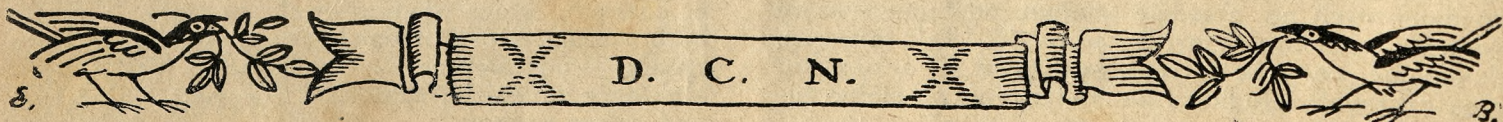
II.

W żelbetonowym drapaczu cisza była kościelna, jak gdyby nie ludzie, lecz cienie na ekranie poruszały się wewnątrz wysokich żelazno-kamiennych ścian. Jak gdyby nie życie samo, ale pozór życia — słaby, powolny film.

Z łazienki tylko, której podłużne okienka wychodziły na kwadrat dziedzińca — wąskiego i mrocznego, jak porzucona studnia dochodziły głosy, przejawione architektoniczną tubą. Wołanie stróża na chłopca od windy, jakiś protest stróżki, krótkie rozmowy służących, pytania pośłańców, lub listonoszów. Zresztą, gasł i przycichał pod więzaniem żelbetonu jazgot codzienny. Jeżeli wrzała ulica, to w okna V, VI, VII piętra bił tylko głuchy poszum niby rozfalowanej wzdętej rzeki, która opadnie za chwilę, żeby codziennym szarym swym pluskiem wybijać rytm trwania, synkopy między stanem się a zanikaniem — nikłe jak ostatni dech życia przed rozpadem śmierci, a sen przed czuwaniem. Bo w jądrze życia śmierć, w bystrem czuwaniu omamy snu.

Okna drapacza wychodziły na wielki plac asfaltowy przed halami ze szkła i z gładkiej czerwonej cegły, za którymi piętrzyły się dachy domów, ulic sąsiednich — kamienny spokój linii, zakłętych w niewzruszoną formę. Życie, które stanęło i tylko dla bacznej myśli grąży się ruchem drobinek we wnętrzu kamienia i cegły, — przenikaniem istot, których oko nie widzi w twardej, zbitej masie, gdzie — zdawałoby się — niema miejsca na byt ameby.

Jakiś kasztan w głębi dalekiego, obcego podwórza. Kilkanaście akacyj rzędem wzdłuż chodnika ulicy, która, z wysokości piątego piętra była, jak mrówczy gościniec.



MARJA KUNCEWICZOWA

PRZYMIERZE Z DZIECKIEM



wo szczęsne jarzenie się, ta brylantowa gorączka zdrowia przekwitała jednak szybko i Dyzio zapadał w sen. Buzia, przed chwilą jasna, jak płomień, mierzchła, przybierając wyraz kukielkowej srogości. Namysł i racja stanu osiadały między brwiami; nos lekko rozdęty już coś tam bredził o pasjach; zato cała najśliczniejsza śmieszność dzieciństwa, głupota bez skazy, słodycz i indolencja oplatały wianuszkiem Jędrusiowe usta. („Różane wardzusię” — mówiła niania). Oddech pulsował cichutko między temi wargami — rzekłbyś skrzydlate serce stokrotki...

I nigdy najbogatsza pani na świecie nie nosiła tak miękkich jedwabów, ani najświetniejszy książę Orjentu nie całował skóry tak gładkiej, jak miękkie i gładkie były aże czerwone wstążeczki związane w uśmiech na twarzy Jędrusia.

Teresa, pochylona nad śpiącym, zatracala się w uroku, który wsysał ją w siebie, niby przepaść wchłaniająca oszalały potok. Ze snu dziecka biło szczęście mocniejsze od woni storczyka, podniecające na sposób górskiego powietrza, szczęście drapieżne i słodkie aż do omdlenia. Matka odchodziła od łóżeczka bardziej wyczerpana zmysłowo, niż po nocy napełnionej pieszczotą od brzegu do brzegu.

Za tę cudowną mękę oczu i nerwów Teresa najpierw pokochała syna.

Przyszło drugie Jędrusiowe lato i zastało synka na własnych biegających nóżkach. Minęło wreszcie u Teresy uczucie organicznego związania z tworem równie facygującym, jak narodził na mózgu. Znowu poczuła się człowiekiem.

Nie była jeszcze piękną kobietą z przed dwóch lat, ale przestała przynajmniej być karmiącą samicą. Między nią, a dzieckiem wytworzyła się pewna — narazie płytka — jednak już obiecująca perspektywa.

Jędrus, podobnie młodemu odnozu leszczyzny, odszczepił się od matki i bujał coraz dalej od pnia. Można było zapomnieć o nim na godzinę i potem wracać nie do wrzeszczącego kosza, w którym głód impertynencko jazgocze, tylko do miękkonogiej istotki, która rozumuje i na własną rękę brodzi wśród zalewu zdarzeń.

W mózgu Jędrusia wybijał się tymczasem z obślonek owad ciekawości i łoskotliwym skrzydłem drażnił czucia — tępe jeszcze, jak nos szczenięcia. Chłopczyk węszył, oglądał, dreptał i dotykał z gorliwością wyżła, a niedołęstwem ómy.

Najbardziej wykształconym organem odbiorczym wrażeń był język i owe „różane wardzusię”. Więc też cokolwiek uszczęśliwiło oczy: czy to czerwien jakaś, pyszna na podobieństwo kogucich splendorów, czy też kształt krągły, albo skoczny — natychmiast rzeczą ta podlegała próbie smaku.

A jeśli, broń Boże, przedmiot nie dawał się osłonić ze względu na swoją nieuchwytność, bądź ogromne rozmiary, z wnętrza małego człowieka buchał żal, serdeczna obraza i zawód, splecione w strumień płaczu. Pierwszy odporny gest Nieznanego. I pierwsze z pobudek idealnych płynące cierpienie.

A upał — na podobieństwo zaklinacza szczurów grajac na sielskiej fujarce, chmarami wyprowadzał

ludzi z miast na pstre podwórce swobody, między koronkowe ściany cienia. Utrudzone mrowie, tysiące nóg rozbolałych od stąpania po bruku, śpieszyło, a śpieszyło ku drogom wonnym, jak ciepły razowiec: Tysiące głów niosło się nad ziemią z czołami podanymi na wiatr, by zaznać dotknięcia jego dłoni, mokrych od zabawy z morzem.

Jędrus pilnie przyuczał stopki do chodzenia po trawie. Podnosząc do góry, niby ślimak rożki, wielkie palce i kurcząc resztę, biegał po łąkach, podobny do kolejki za trzy złote, która nigdy nie wiadomo kiedy się zatnie, a kiedy popędził bez przytomności. Wślad za nim pośpieszały wedle sił pięty i rozchybotana głowa. Był ciągle jeszcze przy Teresie nieodstępnie, ale obecność ta straciła właściwości zmory. Jego potrzeby stały się uregulowane, wolne od wszelkiej tajemniczości, Pozwalał się hodować prosto, ni to pospolity wesoły krzak w doniczkach dziewczyny.

Nad wszystko służyło mu słońce. Więc też Teresa często wyłuskiwała ciało syna z lalczynych szatek i puszczała nagiego między dziewanny i cykorje.

Malutka nagość pieściła wtedy oczy jakskrawiej od kwiatów, krzątała się wśród zieleni nakształt egzotycznego zwierzęcia z rodziny małp, czy też rococowych aniołów. Ruchliwość osoby, a zwłaszcza nieposkromiony głód rąk przypominały sposób bycia prześwietnych Bandar-Logów. Natomiast kształt, jakby ulepiony z poszczególnych fal tłuszczu i cały od porcelanowej glazury, zgoła był anielski.

Niektóre przegięcia tułowia, wykręty rąk i przewracania żenic dawały pozór świętości w stylu Boucher'a. Dziecko zdawało się drapieżne, niczem uczeń czarno-złotej Baghery, nurkujący wśród ljan, a zarazem biegle w sztuce gawota i w recytowaniu antyfon. Tło zaś Jędrusiowych igraszek z naturą równie było przyjazne błyskawicznym chwytom systemu Bandar-Logów, jak i wniebowzięciu tanecznemu Rococa.

Cokolwiek umyślił chłopczyk: czy to napaść na kitę łubinu, czy poćwiartowanie chrabąszcza, czy też przesadne umizgi do muchy, albo jakieś rondo capriccioso z bułką w garści — zawsze trawa, chmury, blask i lepkie od słodyczy powietrze (potworna owa szata wielkiego cielska ziemi) przylegały pieściwie, z wdziękiem dziecinnego fartuszka do postaci Jędrusia.

Kiedy malec, rzęsiście roześmiany, tarzał się w gnieździe macierzanki, a gałąź głogu chwyciła go za włosy, Teresa, patrząc, jak żyje jej nagi syn, przestawała wkrótce odróżniać, co jest ręką dziecka, co warkoczem uplecionym z liści, co radością małego człowieka, a co uśmiechem rośliny.

Jakoś tymże czasem Teresa zaczęła znowu podobać się sobie. Jej biodra i piersi, przez które przeszła kosmiczna fala narodzin, wróciły do poprzednich form, prawie dziewiczych. Z rozbujania organizmu, z karmicielskiej obfitości został ślad za ledwie znaczny, jako miękkość ogólnego zarysu i zmęczenie niektórych mięśni.

Jedynym śladem wyraźnym było przesunięcie światopoglądu na jego właściwe miejsce — to miejsce,

które Jehowa krwistą plamką nazaczył w mózgach pierwszych małżonków.

Z pod klosza estetyki Teresa wyszła na dy miący bestjałskim potem grunt realizmu. Nauczyła się w twarzach ludzi rozpoznawać pewne skurcze, cienie i błyski dawniej nieistniejące—dziś wymowne, jak słowa po wielu latach odzyskanej siostry. Zain teresowały ją przedmioty i sytuacje, obok których przechodziła dotąd z wachlarzem infantki przed oczyma. Wiedza napełniła jej oczy, stały się głębsze, ciepłe i jak gdyby syte. Życie doszło do szczytu i, rozpostarte hardo na najniższym punkcie swojej wędrówki, oglądało ze spokojem drogę, którą trzeba będzie odejść ku śmierci.

Wszystko, co dręczyło wyobraźnię zostało od kryte. Wszystkie zasadnicze prawdy ludzkie odsłoniły oblicza—została tylko śmierć, a przed nią nie skończony szereg powtórzeń, przypomnień i uzupełnień rzeczy poznanych.

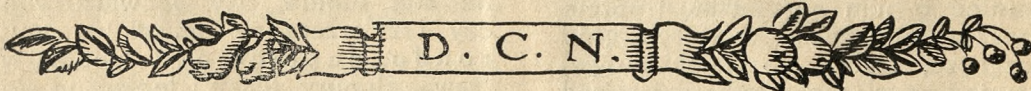
Kiedy Teresa, zacisnąwszy powieki, siedziała w trawie, a zbliża dochodziło pogadywanie jej dziecka, w myślach o życiu młoda pani widziała krąg doskonale zamknięty:

Dwadzieścia kilka lat temu, urodziła się sama; nastąpiły liczne wiosny i jesienie, które wszystkie, z palcem na ustach, prosiły o cierpliwość i obiecywały nagrodę. Przez czasy ów okres przygotowania malutka—i coraz większa—Teresa biegała ode drzwi do drzwi zamkniętych i próbowała włamać się w życie. Tymczasem—nic o tem nie wiedząc—żyła, a to, co było za drzwiami, wyciekało przez szpary i w przybytku nagród coraz więcej miejsca obejmowała pustka.

W miarę, jak kształciły się zmysły panny i rósł zapas wiadomości, codzien niemożliwszym się stawał nakaz czekania przed drzwiami. Przyszła wreszcie pora Erosa.

Podobnie sezonowym kwiatom pęczniały, rozwijały się i więdły tęsknoty—te przyjęte i te odrzucone. Z za węgla nagle wyszedł i w poprzek drogi stanął mężczyzna. Na serce—nito jastrząb—spadła pierwsza miłość; głupia i męcząca gorzej od bólu. Przyszła za nią druga, już wykluta z poczwaraki, romantyczna, cała zamknięta w słowie i w spojrzeniu, nie wiedząca o ciele, zachwycona i najszcześniejsza.

Później była miłość taneczna; złośliwa, jak jaszczur-



ka nieuchwytna; rzekłbyś: dama w masce, intrygująca kaśliwie, a przecież uroczo.

Rzecz ciągle jednak działa się przed zamkniętymi drzwiami. Aż wkońcu wielkim płomieniem buchnął romans. Panieński. Chłopięcy. Romans bez ostatniej karty. Ale tak przejmujący, tak bliski jakiejś poza ludzkiej prawdy, że kiedy spopielała owa pożoga, Teresa u zamkniętych drzwi błędziła już zmęczona i prawie nieciekawa.

Wtedy wyszła zamąż. Z całą sumiennością jęła rozgryzać cierpkie jądro małżeństwa; i któregoś tam dnia, o którejś godzinie spostrzegła, że drzwi zostały poza nią, że mieszka już w domu ludzi dojrzałych. Ogarnawszy wszelako spojrzeniem nową siedzibę, pani poznała, jak mało—za progiem tajemnicy—zostało do poznania...

Bowiem przez czas szamotania się Teresy na przyźbie, życie uszło z pośród ścian, niby woda z basenu. Teraz dopiero olśniło czekającą widzenie fal upłynionych, które w przepływie obmywały jej ciało, a które były życiem. Ku zadziwieniu bez miary stało się jasnym, że to co każdej godziny przemija nie nazwane, że to właśnie jest wyjawioną tajemnicą; i jasnym się stało również, że strumień już prawie cały odbieżał. Aliści w najtajniejszym wnętrzu domu biło jeszcze niedocieczon-źródło: zagadka narodzin. Teresa z pod oka śledziła pulsacje tej zagadki: nie pragnęła wcale przenikać jej odmetu—bała się na dnie zobaczyć robaka brzydoty. Tymczasem okazało się, że wzgardzone źródło jest kraterem wulkanu, bluznęło lawą na na Teresę i zatopiło ją poniewoli w płomieniach bólu. Teresa urodziła syna. I oto krąg zamknięty.

Matka ze spokojem patrzyła na drogę, którą trzeba będzie odejść ku śmierci. Patrzyła na tę drogę rudą od słońca, szarą od dni powszednich i pijaną od niedziel. Widziała tłum, który wespół z nią pogoni drogą, aż do miejsca, gdzie czarny kamień oznaczy kres wszelkim krokom i stąpiom.

W sercu Teresy—tak do niedawna atlasowem, tak wybrednem i zgoła królewskiem—mieścił się poufale cały kurz tej drogi i cała jej gminna konieczność. Pani nie czuła ucisku w sercu, ani obrzydzenia w żrenicach—czuła tylko, jak krwią nabiega ten sam punkt purpurowy, którym Jehowa

nazaczył mózgi pierwszych małżonków.

Z. ZAWISZANKA

CÓRKA BOGA

22

To też nie zbiły jej z tropu długie namysły i wahania panów Rady: czyby na Paryż teraz nie pójść, lub do Normandji? Bezwątpienia oba te projekty miały wówczas duże szanse powodzenia, wobec ogólnej konsternacji u Anglików—i były wojskowo dość uzasadnione. Widziała to zapewne Joanna—lecz w jej oczach wzgląd polityczny górował teraz ponad wszelką kombinacją strategii. Zresztą, z tamtego punktu widzenia podbój żyznej Szampanji nie był też obojętny—tembardziej, że wobec pustek w skarbie, wojsko stale nieopłacane, musiało żyć z kraju. Miasta warowne, dzierżone tam przez

Anglików, miały przecie ludność francuską, której życzliwa pomoc nie była wykluczona...

Dziwne to zrządzenie losu, że plan, z taką siłą narzucany przez Joannę, znalazł zwolennika właśnie w cichym jeszcze, lecz groźnym jej wrogu, kanclerzu państwa, arcybiskupie de Chartres. Wszak Reims była to jego pasterska stolica, nieobjęta dotąd jeszcze wskutek inwazji nieprzyjacielskiej; stolica, w której widział raczej pokaźne źródło dochodów, niż placówkę działalności duchownej... Przytem, niemały to zaszczyt, pomazanie dawać królowi!

Tak więc stało się, że ten chytry, szczywany

lis w infule „potwierdził mądrością ludzką¹⁾ to, czego domagała się Dziewica przez natchnienie niebieskie²⁾).

W Gieu, w pobliżu Orleanu, zbierała się szybko armja, wśród ogólnego, niesłabnącego zapału. „Wszyscy wierzyli w wypędzenie Anglików, prócz króla i faworytów jego“ — mówi Petit-Dutaillis.

Ale kampanja koronacyjna była już postanowiona. Joanna dyktowała i rozsyłała pośpiesznie listy, zapraszające do Reims (zajętego jeszcze przez wroga!) mieszkańców wiernego Tournai, a także kilku innych miast. Napisała nawet do burgundzkiego księcia, przedstawiając mu obowiązek zaniechania kroków nieprzyjacielskich, zachęcając do zgody rodzinnej i do udziału w świętej ceremonji. Nieustraszona bojownica okazała się i przezorną dyplomatką, wbrew własnemu sercu — gdyż od dziecka nienawidziła Burgundji — tam gdzie szło o dobro ukochanego królestwa.

W ostatniej chwili przed wymarszem znów wahania zasnuły horyzont, nakształt mgły, hamującej kroki: przedstawiano Joannie nierozumną śmiałość wyprawy, wobec kilku silnych twierdz w Szampanji, które pozostawić za sobą było niebezpiecznie, a zdobyć — zbyt trudno...

— Wiem — ci ja ono dobrze i lekce sobie wazę! odparła zniecierpliwiona, a nie tracąc już czasu na dyskusje, wyruszyła sama z przednią strażą, 27 czerwca. Był to jeden z tych faktów dokonanych, co sugestjonując ludzi swą śmiałością, przesądza ją sprawę. Za strażą przednią poszło naturalnie całe wojsko, w sile 12 u tysięcy, a w dwa dni później powłókł się leniwie i król z dworem, uspokojony zapewne myślą, że będzie na kogo złożyć winę, w razie niepowodzenia...

Pierwszą przeszkodę napotkano pod miastem Auxerre, które poddać się narazie nie chciało, choć dostarczyło żywności dla wojska. Daremnie błagała Joanna, by po układach przejść do szturm: ona jedna tylko odczuwała upokorzenie osoby monarszej w tem tchórzliwym obejściu bram zamkniętych. Gród Troyes zastano także w gotowości obronnej, mimo prowadzonych już przedtem tajnie układów z mieszczanami. Wykręcali się teraz w twórze o swą skórę, że ich wiąże przysięga, złożona już najeźdźcy i terroryzuje angielski garnizon.

Wpływowi tam zakonnik — kaznodzieja, brat Ryszard, (słuchany także bardzo w Paryżu), wybrał się do St-Phal, by zbadać osobiście, zapomocą egzorcyzmów i wody święconej, czy groźna Dziewka nie jest służebnicą szatana.

— Przybliżcie się śmiało — rzekła Joanna, na ten widok, z wesołą drwiną — ja nie ulecę!

Przekonawszy się, że prawdę mówi, mnich padł na kolana — Joanna, nie chcąc zapewne odbierać takich hołdów od osoby duchownej, uklękła również i tak czolgali się ku sobie...

Brat Ryszard wrócił do Troyes zupełnie już podbity, niosąc pismo od niej z wezwaniem do otwarcia bram, — i opowiadając głośno:

— Bóg dał królowi Karolowi za przewodniczkę świętą Dziewicę, która — mocno onemu wierzę — więcej ma mocy ku przenikaniu tajni niebieskich,

niżli jaki ze świętych w raju, krom jednego Jana Ewangelisty!

Lecz mieszczanie, głusi na jego namowy, spalili list wśród naigrawań i nie dali nawet odpowiedzi.

A tam, w obozie, smukły, młody rycerzyk obejmował królewskie kolana, wzywając krzepko niewieścim głosem, w którym drgała namiętna prośba i wiara niewzruszona:

— Miłośniwy królewicu, rozkażcie waszym ludziom szturmować gród Troyes! a nie trwajcie więcej na onych długich radach, albowiem w imię Boże, przed upływem trzech dni sprawię, iż wejdziecie do miasta i waszem ono będzie — przez miłość, alibo przez moc i odwagę. A zdradziecka Burgundja będzie się mieć z pyszna!

Czas był istotnie najwyższy przerwać „długie rady“, bo się już z nich poczyniała wyłaniać samobójcza myśl o powrocie nad Loarę... Pod nieodpartą sugestją Joanny dano jej żądane trzy dni na zdobycie grodu.

— Jutro go dostanę! — zawołała w uniesieniu. I zaraz rzuciła się, jak piorun, między zbrojnych, mobilizując wszystko, co żyło, do akcji oblężniczej.

Sama obiera stanowiska dla artylerji, zarządza budową osłon, każe gromadzić co prędzej faszyny, deski, drzwi i meble — co kto może — dla zapelnienia fosy obronnej. Nieznużona, baczna na wszystko, przebiega tam i napowrót pole działania, znajdując dla każdego najwłaściwsze słowo zachęty. Pod jej wyłącznym kierunkiem, wspólny wysiłek całej armji stworzył, w ciągu jednej nocy, mocną linię oblężniczą.

Na sam jej widok, o świcie 10-go lipca, zanim z ust dziewczęcych padł rozkaz: „do szturm!“ — przerażone Troyes otwarło bramy. Z biskupem swym na czele, delegacja mieszczan zjawiła się natychmiast w obozie

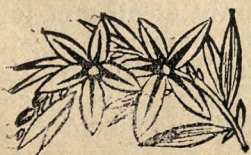
Król okazał się łaskawym, obiecując pokryć zupełną niepamięcią błędy przeszłości; pozwolił także garnizonowi opuścić miasto, z całym swym dobytkiem. Do dobytku tego zaliczano, obyczajem wojennym, także i jeńców — lecz Joanna, na widok ponurego orszaku skrępowanych rodaków, wyprowadzanych przez wroga, nie bacząc już na żadne układy, własnym ciałem zagroziła im drogę.

— W imię Boga! — krzyknęła — oni ich nie zaborą! I król zapłacił, z własnej ubogiej szkatuły, okup za tych biedaków.

Wśród powszechnego zbratania oblegających i oblężonych, w świętych blaskach porannego słońca wjeżdżał Karol VII do odzyskanego grodu. Rozszerzonemi ze zdumienia oczyma pożerali mieszkańcy ową Dziewę, wyśmiewaną jeszcze wczoraj, co dziś opór ich złamała; w duszach tych Francuzów, oswojonych już z obcem jarzmem, coś się przemieniało mimowoli, coś otwierało im usta do powitalnych okrzyków... Nie kapitulacja to była, lecz radosny powrót na łono własnej rodziny — jakże było nie kochać tej, co sprawiła cud taki? (c. d. n.)

¹⁾ Ach, zbyt ziemską nawet!

²⁾ A. France. „*Vie de Jeanne d'Arc*“.



KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

FRANCUSKIE INŻYNIERKI

Nie tak dawno jeszcze zawód inżyniera zdawał się być przeznaczonym wyłącznie dla mężczyzn i nawet najbardziej samodzielnie usposobione niewiasty nie marzyły o politechnice. Matematyka i trudne wyliczenia techniczne były niejako uważane za dostępne jedynie umysłom męskim. Życie jednak zadało kłam tym teorjom i dziś — zarówno u nas, jak i w innych państwach europejskich — kobiety gromadzą się tłumnie do wszystkich szkół technicznych, które kończą często z bardzo chlubnymi świadectwami.

W Polsce nie mamy jednak jeszcze stowarzyszeń i związków kobiet inżynierów, jak to ma miejsce w Ameryce i Anglii. Obecnie i we Francji inżynierki są zjawiskiem coraz częstszym. Czytamy z tego powodu w „Matin'ie“.

„Powstanie u nas nowa szkoła inżynierska, przeznaczona wyłącznie dla kobiet. Tak jest, nie dziwicie się: wyłącznie dla kobiet. Powstanie swe zawdzięcza ta instytucja energii i pełnej poświęcenia pracy pewnej młodej kobiety (nazwałbym ją właśnie dla tej energii mężczyzną, gdybym nie bał się ją obrazić). Panna L. M. Paris, która ukończyła niedawno Instytut elektro-techniczny w Grenobli, stworzyła wysiłkiem własnym, bez niczyjej pomocy, bez żadnych zasiłków pieniężnych, szkołę elektromechaniczną dla kobiet — szkołę o poziomie takim, że już została ona przez władzę uznana za nawpół oficjalną, co zadokumentowano oddaniem jej lokalu w gmachu Konserwatorium Narodowego Sztuk i Rzemiosł.

Gdy panna Paris zwracała się do władz z prośbą o pomoc w zorganizowaniu tej szkoły, powiedziano jej: Damy pani prawo używalności części gmachu: są tam sale, laboratorja — nie są one zajęte przez cały dzień, więc będzie można z nich korzystać w pewnych godzinach, niech się pani porozumie z kim należy i urządzi tam szkołę.

— Dobrze, ale gdzie profesorowie? Skąd wziąć funduszy na opłacenie ich?

— A to już pani rzecz, my się o to nie będziemy troszczyli. Dajemy pani lokal, reszta już do pani należy. Zobaczmy, czy sobie pani potrafi dać z tem radę.

Potrafiła. W przeciągu kilku tygodni szkoła była zorganizowana i to zorganizowana na poziomie bardzo wysokim. Wykładają tam najlepsi profesorowie, i, ponieważ narazie niema funduszy na opłacenie ich, wykładają bezpłatnie. Słuchaczek — tłumy. Złośliwe języczki twierdzą, że przyciąga je tam nie tylko sama chęć zdobycia dyplomu inżyniera - elektrotechnika... Są jeszcze i inne względy. Oto, jak fama głosi, absolwentki inżynieryjne poszukiwane są bardzo po ukończeniu studjów zarówno przez fabrykantów i przemysłowców, jak i... przez młodzież, pragnącą założyć własne ognisko domowe. Amor, kapryśny bożek, objawia we Francji w wieku dwudziestym specjalną predylekcję do pań inżynierek: wije sobie chętnie gniazdko pomiędzy dynamomaszyną, a akumulatorem.“

Korespondent „Matin'a“ kończy swój artykuł następującą uwagą filozoficzną:

„Czasy się zmieniają, a z nimi gusta i obyczaje. Dawniej młoda panią, chcąc się wydać za mąż, wkładała gazową sukienkę i szła na bal. Dziś ubiera się w gruby fartuch, rękawiczki i idzie do instytutu elektro - mechanicznego. Skutek w obydwóch wypad-

kach ten sam: w rezultacie idzie do ołtarza, a o to przecie chodziło w samem założeniu.“

NAJMŁODSZA AUTORKA ANGIELSKA.

W Londynie na rynku księgarskim ukazał się tom nowel najmłodszej autorki angielskiej, dwudziestoletniej panny Sylwji Thomson. Nowele te uzyskały odrazu olbrzymią popularność, pobijając rekord poczytności najbardziej znanych autorów angielskich. Niemniejszy sukces odniosła młoda literatka i w Stanach Zjednoczonych, gdzie w przeciągu pierwszych dwóch miesięcy po wydrukowaniu tego dzieła rozkupiono odrazu 35 tysięcy egzemplarzy. W czterdzieści osiem godzin zaś po ukazaniu się tej książki otrzymała panna Thomson od jednej z największych firm kinematograficznych w Ameryce propozycję zapłaty trzystu tysięcy dolarów za prawo sfilmowania tego dzieła. Inna oferta, niemniej korzystna, proponuje dwa tysiące dolarów za prawo przetłumaczenia książki na język hiszpański, celem rozpowszechnienia jej w Ameryce Południowej.

Zbytecznem byłoby dodawać, że zarówno amerykańskie, jak angielskie dzienniki rozpisują się szeroko na temat tak poczytnej autorki i zamieszczają w swych artykułach i rzekomych „interview'ach“ niesłychanie sensacyjne wiadomości o celach i życiu młodziutkiej autorki, jej upodobaniach, sympatjach i antypatjach, i t. p. szczegółach, przeważnie opartych jedynie na podstawie własnej bujnej imaginacji, bowiem panna Thompson nie znosi podobno reporterów i nie dopuszcza ich pod żadnym pozorem przed swe oblicze.

W rzeczywistości koleje jej życia są bardzo proste i pozbawione wszelkich pierwiastków sensacyjności. Pochodzi ona z rodziny średnio zamożnej, ukończyła szkoły z doskonałemi świadectwami i jest obecnie studentką uniwersytetu w Oxfordzie. Pomimo bardzo wybitnej urody nie zdradza dotychczas żadnego pociągu do zabaw towarzyskich, prowadzi życie bardzo spokojne i oddaje się z największym zamiłowaniem pracy naukowej i literackiej. Zdolności pisarskie zaczęła okazywać bardzo wczesnie, jeszcze w dzieciennym wieku bowiem pisywała powiastki i wierszyki, zyskujące jej niemałą popularność w gronie rówieśniczek i koleżanek. Wypracowania jej z literatury były uważane za najlepsze z całej szkoły, i profesorowie niejednokrotnie rokowali jej świetną karierę literacką w przyszłości. Pierwsze jej utwory ukazały się w druku, gdy miała lat szesnaście. Były to drobne nowelki, publikowane w różnych pismach. Znalazły one również pomieszczenie w zbiorku, który się ukazał obecnie.

Sława literacka młodej autorki zjednała jej wielkie powodzenie u mężczyzn. Panna Sylwja otrzymuje podobno dziennie kilkanaście propozycji małżeńskich, osobiście lub listownie, zależy od okoliczności. Wszystkie te jednak oferty młoda literatka odrzuca z niezmaconym spokojem, gdyż jest zaręczona od dwóch lat i czeka tylko chwili ukończenia studjów, by poślubić swego narzeczonego, z którym łączy ją już od dziecka węzły serdecznej przyjaźni. Sława i bogactwo nie zmieniły w niczem jej uczuć, ani upodobań, a jedynym jej marzeniem jest, jak wyznaje sama swym najbliższym: być dobrą żoną, wychowywać dobrze swoje dzieci i w wolnych od obowiązków rodzinnych chwilach oddawać się swej twórczości literackiej, która jej daje najwięcej radości w życiu.



601.

602.



603.

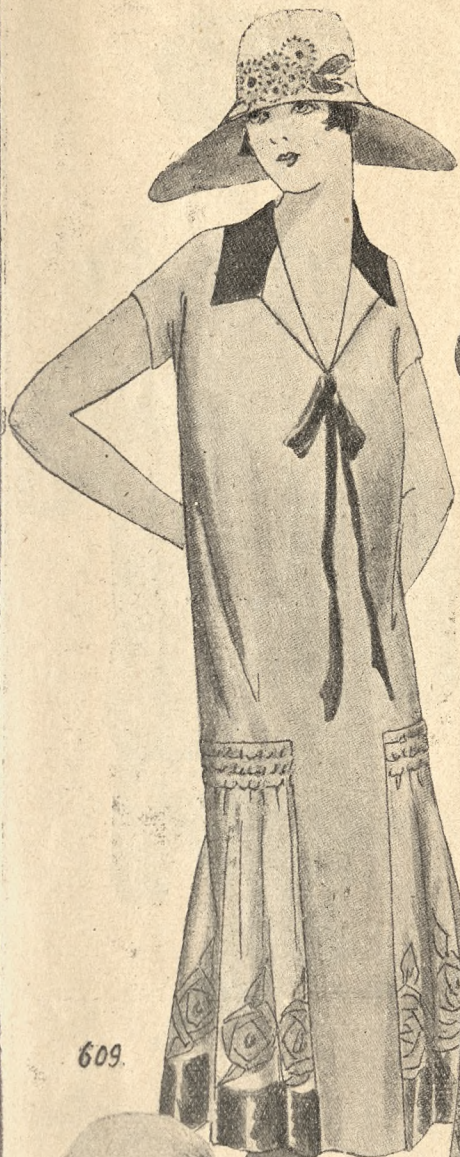
604.

605.

606.

607.

608.



609.



612.



610.



611.



613.



614.





615



616

617



618



619



620



621



■ SZAFIROWY

⊠ PAWI

▨ BRONZOWY

▧ OLIWKOWY

▩ ZIELOWY

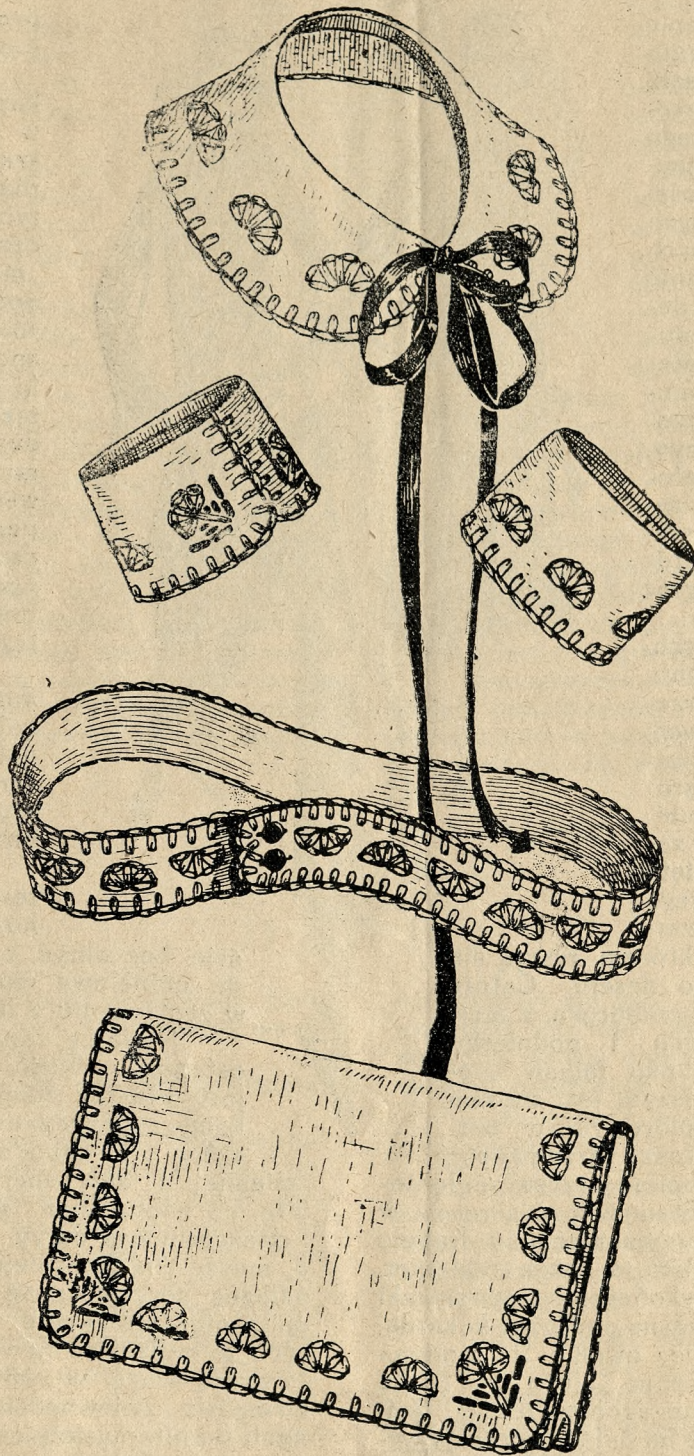
⊞ RUBY

⊞ ZOLTY



HAFTOWANE DROBIAZGI

Ozdobione haftem drobiazgi wystarczają często, aby nadać pozór wykwintu i harmonji, tak bardzo cenionej dzisiaj w ubraniu. Rysunek nasz przedstawia zrobiony ze skóry, albo z sukna w kolorach havana, albo białym kołnierzyk związany pod szyją pękiem wstążek. Widzimy pasującą do niego parę mankietów i pasek szeroki 5 do 6 centymetrów, zapięty na dwa ozdobne guziki. Aby wzmocnić skórę, na której wyhaftowałyśmy deseń trzeba podbić pasek kawałkiem jedwabiu, nafastrygowanym na grubym muślinie. Takie wzmocnienie szczególnie ma rację bytu, jeśli pasek mamy zamiar nosić często na aksamitnej sukni np., skórka bowiem jest bardzo delikatna i łatwo ulega zniszczeniu. Woreczek w formie pularsika bardzo dziś modny, zrobiony również z podobnego materiału haftowany jest dosyć szeroko tasiemeczką lacet jedwabiem, albo kilku ździebłami wełny zephyr, wziętemi razem. Na wykończenie tych drobiazgow można użyć pasków ze skóry, któreami lamujemy



brzeży, lub obrzucić je rzadką dzierganką do góry — jak na rysunku widzimy. Czy w jednym czy w drugim wypadku wypełnia się deseń dużymi motywami w jednym, lub dwóch cieniach. Deseń odznaczyć najlepiej przekłuwając go na skórę. Jest to doskonały sposób przeniesienia deseni na materiały, na których kalka jest nie do zastosowania, bo ślady jej nie dałyby się usunąć tak łatwo. Ładnie też wygląda pasek, mankiety i kołnierzyk zrobione ze skórki najjaśniejszego cieniu bois de rose wyhaftowane złotem, lub na złotym tle tasiemeczką lacet w kolorze odpowiednim do sukni.

Do skromnych letnich sukienek można zrobić te przybrania z białej piki, z organdy, z białego lub niewarowego płótna. Można wyhaftować motywy kolorami — bawełną „coton perlé” lub białą, albo niewarawą nitkę — co zawsze wygląda spokojniej i nobliwiej, pomimo ogromnie modnych dzisiaj kolorowych, a nawet jaskrawych haftów.



SUKNIE DESENIOWE

Jesteśmy w pełnym sezonie letnich sukien, których bogata i ciekawa różnorodność przeszła w tym roku najśmielsze marzenia. Od skromnego i prostego typu ulubionej spódniczki i jumper'a, do cudownej barwności letnich sukien, na urok których składa się mgła przezroczych tkanin, misterne ich znaczenie nowymi w rysunku i barwie deseniami, w których główne motywy stanowią kwiaty, liście i gałęzie. Tkaniny te, w dziedzinie muślinów i jedwabi biorące początek, odznaczają się wyszukany rysunkiem i doбором barw, dalekim od typu wczorajszych drukowanych muślinów, są one wysoce estetyczne, a zaprojektowanie ich, jak i wykonanie, graniczy z artyzmem.

Koloryt tych prześlicznych, zwiewnych sukien jest bogaty i nieograniczony ścisłymi przepisami mody. Pomimo przewagi barw błękitnej i szaro-różowej w królestwie materiałów, o których mowa, spotykamy kombinacje, na które składa się np. zachwycające przejście osiągnięte stopniowaniem koloru żółtego przechodzącego w gorącą czerwień — takim jest tło, na którym rysują się arabeski ciemniejszych nieco deseni. Całość zrobiona zwiewnie i lekko — spódniczka, z marszczonych i podniesionych z boku falban złożona, oszyta jest skosem jednokolorowym, w barwie całości utrzymanym, a o stopień jeszcze pogłębionym. Staniczek dyskretnie w pasie przymarszczony drapuje się miękko, a pasek taki sam, jak wykończenie spódniczki związany na podłużną kokardę, wycięcie owalne i ramiona przedłużone służą za ładną ramę obrażonym ręką. Najnowsze modele faworyzują wybitnie kombinację barwnych deseniowych materiałów z ciemnymi i gładkimi.

Oto np. wysoce udane zestawienie. Woal w zielone i różowe kwiaty łączy się ciekawie z czarnym muślinem, który dany od dołu, jako szeroka plisa, wżyna się ostrymi zębami w wesołą barwność tkaniny. Kamizelka oraz inkrostowanie długich swobodnych rękawów w rysunku zębów utrzymane, wyłogi z woalu wąską plisną czarnego muślinu przecięte, linię staniczka



przecinają dwa podłużne puki czarnej wstążki.

A oto jeszcze jeden model kapryśny, lecz ciekawy. Muślin w dyskretną białą z czarnym kratkę — okładany plisą znaczoną różnobarwnymi kwiatami, których koloryt podkreśla druga czarna plisa. Rękawy, tak zwane „manches pagodes”, szeroko ku dołowi sukni spływające. Nierównie śliczne i wdzięczne, a spokojniejsze w tonie są sukienki całe z jednego wzorzystego materiału wykonane, najwyżej dyskretnym ciemnym kołnierzykiem i swobodnie związaną wstążką, co przez lekkie draperie wesołą spływa nuta, wykończone. Koloryt tych, to już przeważnie najmodniejszy bleu nattier, lub różanego drzewa, czy też szaro — różowy.

Po pstrokacizmie niedawnej mody i spokojnym tonie jednokolorowych sukienek ostatniej doby, ta wesoła, a jednak dyskretna nuta letnich sukien ciejszy i ciągnie wzrok prawdziwym urokiem.

Lekkość i żywe barwy materiałów, o których mowa, z trudnością dają się nosić w mieście bez okryć, to też modne płaszcze crêpe de chine'owe znajdują szerokie zastosowanie w zestawieniu z letnimi tualetami.

Należy zanotować ostatnią nowość, którą jest płaszcz nieprzemakalny z impregnowanego crêpe de chine'u. Przy zmiennej i kapryśnej aurze lata, co naprzemian słońcem i deszczem nas darzy, trudno o miłszy i rozkoszniejszy wynalazek gdyż noszone dotąd palta nieprzemakalne, z których te najłżejsze nawet miały swoją wagę, w zestawieniu z mglistą zwiewnością śliczych tkanin musiały odgrywać rolę niedźwiedziej łapy, kwietne gniołoczącej grzędy.

Elegantki, tak wdzięcznie obnoszące cud najnowszych kreacyj w słońcu modnej plaży u wód zagranicznych, na trybunach wyścigowych pól i konkursów hippicznych wszechświatowej sławy — stroją się w dni otulone melancholją chmurnego nieba — w kost umy całkowicie ze wspomnianego wykonane crêpe de chine'u, utrzymując najchętniej całość w białym tonie. Chcąc dać Paniom cało-



kształt mody letniej, nie można pominać milczeniem bluzek, które po krótkim odpoczynku wytoczyły nam zwycięską batalię — wracając na widownię w pełni triumfu.

Noszone są do kostjumów podróży i sportowych, przoduje im bluzka z niewiarogodnie delikatnego zamszu, którego miękkość cudownie otula.

Bluzka taka ujęta w pas z jedwabnego trykotu i całkowicie nim podbita jest specjalnie pożyteczna i miła w górach i przy grze w golfa.

Sweatry zatraciły od niedawna tak modne wyraźne desenie. Znaczone są dzisiaj futurystycznym rysunkiem dyskretnie tonowanym, lub kreślone poprzecznymi pasami. Z entuzjastycznym przyjęciem spotkały się leciutkie pikowe i płócienne *casaque'i*, strojne wypustki, lub plisę, odmiennego koloru. Kamizelki pikowe bez rękawów zastępować mają w upalne dni letnie *jumper'y* i *casaque'i*. Najwięcej wyszukania spotykamy w wykonaniu bluzek z *crêpe de chine'u* i *georgette'y*, których wykuint polega na misternym mereżkowaniu — za ledwie na pierwszy rzut oka widocznym, co jak wiemy jest dzisiaj szczytem szyku. Pewną rewelacją są modele najpierwszych firm paryskich — bluzka wpuszczona pod spódniczkę, efekt krótkiego stanu dająca, powrót którego sygnalizują coraz częściej.



Notuję tutaj kilka kreacji z dziedziny bluzkowej wybitnie indywidualnych i piętno chwili na sobie noszących. Oto śliczna bluzka z białej *georgette'y*, naszywana wzdłuż świecąca jedwabną wąską pletnią w kolorze *georgette'y*. Zupełnie bez rękawów schodzi się jednak pod szyją i wykończona jest gładkim wyłożonym kołnierzykiem i takimiz plisami, z których jedna wzdłuż bluzki z lewej dane strony, w drugą poprzeczną dół ujęty. Na tej nieskazitelnej bieli wiją się również białe końce wążutkiej wstążki, na lekką długą związanej kokardę. Druga, to biała pikowa, sutaszem u dołu, przy wycięciu i rękawach

brzeżona. Sutasz koloru spódniczki np. w pistacjowym tonie, dany kilkakrotnie w niewielkich odstępach tworzy niezbyt szerokie szlaki — wycięcie w kształcie litery U — rękawy długie.

A wreszcie tak bardzo modne zestawienie blade — różowego i szafiru. Bluzeczka gładka z długimi rękawami, wywinętym mankietem i kołnierzykiem. Wykonana z delikatnej blad różowej tkaniny — oszyta szafirową pletnią, lekko bufiasta, w szeroki poprzeczny pas ujmujący ją w biodrach wszyta.

Niezaprzeczenie, że bluzki rozwiną cały swój bogaty czar w sezonie jesiennym, kiedy na widownię wróci kostjum sportowy przyćmiony dzisiaj pajęczą lekkością letnich kreacji.

W. D.

DERBY

W poniedziałek, 14 czerwca, spotkałam Lolę Bywalską, śpieszącą gdzieś pod ociekającym wodą parasolem, rozfryzowaną i wściekłą.

— Wyobraź sobie — rzekła, zamiast powitania, Dolar nie dopisał.

— Jakto, zapytałam, dolar spadł? Niepodobna!

— Ale nie Brutus go pobił o półtorej długości, trzeba było grać we francuskim, ale kto mógł wiedzieć. Wszyscy mówili, że Dolar jest tak pewny, że nawet nie warto grać, bo nic nie będą płacić. Więc wszyscy graliśmy na Dolara. I ja, i mąż, i Snobikowscy, i mój fryzjer, którego żona jest siostrą dżokeja, i dzięki czemu ma zawsze pewne informacje.

Domyśliłam się, że chodzi o wczorajsze Derby.

— Wiesz, może to i nienajgorzej, że ludzie tracą nieco zaufania do Dolara, a niema jakiegoś faworyta, któryby się nazywał „Złoty“?

— Zdaje się, że nie, odparła melancholijnie Lola.

Ponieważ deszcz lał, jak z cebra, weszliśmy do pierwszej z rogu kawiarni.

— Ale pogoda przynajmniej wczoraj dopisała, zauważyła Lola, stawiając do kąta mokry parasol, widać że sport polski cieszy się szczególniejszą opieką niebios, w sobotę było niepewnie, dziś potop od samego rana, a Derby w pełnym słońcu, jak gdyby pełni galanterji aniołowie bali się zniszczyć piękne tualety uroczych warszawianek.

— A było co naprawdę ładnego?

— Ale, powiadam Ci aż oczy rwało, bo to wszystko w słońcu, rusza się w zwartym tłumie,

nie wypada się zbyt uparczywie przyglądać a tyle arcydzieł kunsztu krawieckiego, że chciałoby się niejedną strojną damę zatrzymać i poprosić o pozwolenie obejrzenia szczegółów jej tualety.

— Opowiedz przynajmniej, co cię najbardziej zafrapowało.

— Wiesz, chyba ta dama w płaszczu z turkusowego aksamitu, miała usta najdokładniej zamalowane białą szminką z pudrem i na tej emalii wymalowane najpiękniejszym karminem serduszko rozmiaru kierowego asa.

— I ty mówisz, że nie zdążyłaś się przyjrzeć szczegółom.—Ale wiesz, odkąd przeczytałam, że ekscentryczne amerykanki malują sobie usta na kolor obuwia, lub odrobienia tualety, doszłam do przekonania, że sztuka malowania się jest u nas jeszcze w kolebce i że jest nawet bardzo dyskretnym niemowlęciem. Więcej mnie frasuje to, że owa dama miała aksamitny płaszcz, w początkach czerwca. I nie ona jedna, widziałam kilka innych okryć z aksamitu, między innymi prześliczną pelerynę ze srebrzystego *velours chiffon*, marszczoną w sznury. Jedna bardzo piękna dama z angielskiej legacji miała tualetę z *georgette'y champagne*, karbowaną od góry i rozciętą w dole na cztery części, bardzo ładnie fruujące. Pod spodem wąski *fourreau* z tej samej *georgette'y*. Przy tej jasnej, powiewnej sukni miała kapelusz z czarnego aksamitu i wyglądało to bardzo ładnie.

— A peleryn było dużo?

— Sporo, niektóre bardzo ładne, najpiękniejszą miała chyba Halina Szmolc, całą plisowaną z czarnego jedwabiu i kołnierz okrągły, jak wałek, również plisowany i z pod kołnierza dwa wiszące końce, wiesz takie, które za czasów cesarzowej Eugenji nazywano „sivez moi jeune homme“.

— I to było ładne?

— Pcwadam ci, prześliczne. A kapelusz miała p. Szmolcówna z ażurowej słomki bois de rose, pa sterkę lekko opuszczoną na bokach i podpiętą ztyłu różą.

— Dużo było bois de rose'ów?

— Nie bardzo. Jeden był bajeczny kostjum bois de rose: kasha, szeroko bramowany tumakami. Bajka! Dużo było również okryć białych z białymi lisami i muflonami, ale to niezawsze wygląda ładnie.

— A były jakie kostjumy z georgette'y?

— Owszem, najładniejsze to było długie okrycie z georgette'y gris perle zaokrąglone z przodu, obłożone dokoła popielatami królikami. Pantofelki, pończoszki i maleńki filc wszystko gris perle i kilka sznurów pereł na szyi, całość ef, ef. Ale wiesz, że wszystkich modnych kolorów gris perle to chyba najszcześliwszy i dystygowany i wszystkim w nim do twarzy. Było kilka zupełnie skromnych popielatych sukienek, które wyglądały bardzo efektownie. Jedna ze srebrzystego crêpe de chine'u miała plisowaną spódniczkę i gładki pull over z długimi rękawami, druga z georgette'y miała krótkie rękawki i dół odrobiony płatkami z georgette'y zakończone mi przeciętą szafirową merezką. Do obu maleńkie filcowe kapelusiki.

— To dużo było filców?

— Tak, niektóre maleńkie grzybkowate, inne

przypominające sombro hiszpańskie. Pewna piękna pani miała kapelusz z czarnego wł chatego filcu, kształtem przypominający coś pośredniego między tricornem a przybraniem głowy mandaryna. Miała również płaszcz z czarnej tafty i suknię z surowego jedwabiu w ślicznym, jasno zielonym odcieniu.

— Bardzo lubię czarne płaszcze.

— Ja także, bardzo ładny widziałam płaszcz na blado różowej podszewce, otwarty na bladoróżową suknię. Spotkałam młodych Gapskich, wiesz takie sympatyczne młode małżeństwo; ona miała nowiutkie lakierki i ciągle chciała siedzieć, wszystkie ławki, z których cośkolwiek widać, były zajęte przez dwie kondygnacje lokatorów. Więc siedzieli w ogrodzie, on był zły i mówił, że to samo mógłby mieć w parku Ujazdowskim, nie płacąc dwunastu złotych za wstęp. Biedak!

— No, a był jeszcze kto z ciała artystycznego.

— Multum, nie wszystkich zdołałam dojrzeć, wiem, że była Rena Hryniewiczówna w sukni z różowego jedwabiu z szalem—peleryną, w odwiniętej do góry kremowej pasterce i Ordonka w sukience z łososiowego surowego jedwabiu, zielonym filcu i sweaterku haftowanym krzyżykami. Ale, ale byłabym zapomniała o jednej z najładniejszych tualet. Żona jednego z członków towarzystwa wyścigowego miała suknię z bolerem z cielistej georgette'y, haftowaną białym, wypukłym haftem i dużą pasterkę z ażurowej słomy vert nil z różową różą. Powiadam ci ósmy cud świata. Zdaje się, że deszcz nieco przestał padać, pędzę do krawcowej, żeby sobie obstałować suknię z bolerem. Mam wrażenie, że to moda jutra.

I Lola uciekła, jak zwykle zapominając się pożegnać.

Well.

NA CZASIE

Zbliża się lato, oczekiwane z tęsknotą przez każdego mieszczucha, który po całorocznej, wyczerpującej ducha i ciało pracy pragnie wyrwać się z więzów życia miejskiego, zażyć swobody na łonie natury i tam nabrać nowych sił fizycznych i duchowych.

Ale dokąd udać się na lato? Napozór pytanie takie może zadziwić, bo przecież Polska posiada tyle dobrych i lepszych zdrojowisk i uzdrowisk, rozmieszczonych po całym kraju. Nie wszystkie stoją wprawdzie na wyżynie europejskiej, ale wobec trudności, połączonych z wyjazdem zagranicę, mogą i muszą zaspokoić wymagania letników. Nie chodzi mi jednak o te zdrojowiska i uzdrowiska we właściwym tego słowa znaczeniu, ale o tak zwane letniska wiejskie, które niesłusznie w Polsce zbyt małą rolę odgrywają w ogólnym ruchu letniskowym. Nie każdy może sobie pozwolić na prawdziwe letnisko, większość pragnie spędzić tych kilka wolnych tygodni w okolicy pięknej, zdrowej, spokojnej i zdala od wszystkiego, co mu przypomina nerwowe i wyczerpujące życie miejskie. Pragnie wyjechać na wieś. I oto mamy przed sobą zagadnienie letniska wiejskiego.

Do czasów ostatnich sprawa rozwoju letnisk wiejskich pozostawała nietkniętym prawie odłogiem. Dopiero rok ostatni zaznaczył się pewnymi próbami w tej dziedzinie. Zapoczątkował tę akcję Związek Podhalań, grupujący w sobie inteligencję góralską

i lud podhalański, a mający na celu rozwój Podhala pod względem duchowym, fizycznym, gospodarczym, narodowym, wreszcie pod względem rozwoju i „zachowania“ ducha podhalańskiego.

Związek Podhalań zwrócił więc uwagę na podhalańskie letniska wiejskie i rozpoczął tak zwaną propagandę letnisk wiejskich na samym Podhalu, zaś przy pomocy miejskich Ognisk Związku w większych miastach Polski. Propaganda ta poszła w dwóch kierunkach. Zebranie szczegółowych informacji co do warunków letniskowych na Podhalu— to jedna strona zadania, zaś podanie tych zebranych i odpowiednio uporządkowanych wiadomości tym, którzy gą z nich korzystać— druga strona propagandy. Należało zatem zestawzić możliwie dokładny obraz tego wszystkiego, co przyszły letnik chce wiedzieć, by naogół odrazu zorientować się, gdzie ma się udać, ile będzie go w przybliżeniu pobyt kosztował i jakie warunki pobytu czekają go na letnisku.

W Gazecie Podhalańskiej, organie Związku Podhalań, rozpoczęto cały szereg artykułów, mających na celu pouczyć lud podhalański o korzyściach z pobytu letników na Podhalu i o minimum warunków, niezbędnych dla kulturalnego człowieka. Ułożono wzór zawierający pytania, na które każdy, mający ochotę przyjąć letnika, winien był krótko i ściśle odpowiedzieć. Zwrócono uwagę na to, że akcja jest wstępem do planowej i metodycznej propagandy na przyszłość.

Poza podaniem nazwy wsi, ostatniej poczty, dokładnego adresu, postawiono następujące pytania: 1) nazwa najbliższej stacji kolejowej i odległość domu lub willi od stacji, 2) koszt furmanki od stacji do domu, 3) ilość izb do wynajęcia, 4) cena najmu jednej izby, lub całej willi na miesiąc i na cały sezon letni, 5) sprzęty domowe przeznaczone do użytku letników (wiele łóżek, szaf, stołów, stołków i t.p.) 6) czy we wsi można dostać obiad, po jakiej cenie, 7) cena artykułów pierwszej potrzeby i t.d. Akcję na miejscu przeprowadziły wiejskie Ogniska Zw. Podhalańskie w ten sposób, że zbadały prawdziwość podanych informacji i wzięły niejako na siebie moralną opiekę nad letniskami wiejskimi.

№ 24, 25, 26, i 27 Gazety Podhalańskiej redagowanej w Nowym Targu zawiera dokładne adresy

i szczegółowe informacje. Nadto udziela tych informacji Ogniska Związku Podhalańskich w Witowie, Działaniszu (poczta Chochołów), w Kościeliskach ad Zakopane, w Olczy i w Zubsuchem ad Poronin, a wreszcie w Krościenku nad Dunajcem, gdzie można również zamawiać łódki na przejazd Dunajcem w Piecinach. W miesiącach zimowych Gazeta Podhalańska przeprowadzi ankietę co do rezultatów propagandy. Będzie ona miała na celu zorientowanie się w popełnionych błędach i w brakach a równocześnie umożliwi zainteresowanym letnikom poczynienie swych uwag i spostrzeżeń, które Związek Podhalański z wdzięcznością przyjmie do wiadomości i w przyszłości spożytkuje.

W ten tylko sposób będzie mogło Podhale spełnić swoje zadanie i stać się w przyszłości „plucami Polski”.

Dr. Pajerski Franciszek.

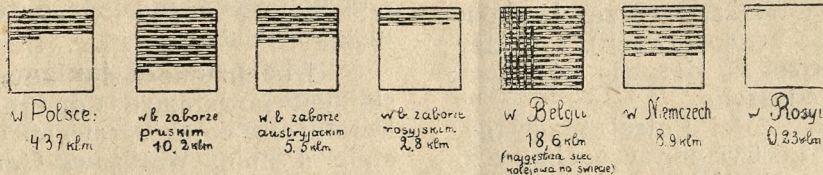
POLSKA WSPÓŁCZESNA

IV.

STOSUNKI KOMUNIKACYJNE

W życiu państwa zarówno gospodarczym jak i społecznym, wielkie znaczenie posiada rozwój dróg komunikacyjnych. Zarówno drogi bite, po których poruszają się mogą tak rozpowszechnione już dzisiaj na całym świecie automobile, jak linje kolejowe, jak również drogi spławne, stanowią o możliwościach rozwoju gospodarczego kraju, o handlu, o cenach jakie producent może uzyskać za swoje wytwory, a także o wzajemnym zbliżeniu się ludności pod względem społecznym. Polska, która przez ostatnie 100 lat, będących epoką w rozwoju komunikacji, była podzielona pomiędzy trzy organizmy państwowe o różnym stopniu cywilizacji, ma też różne, zależnie od dzielnicy, warunki komunikacyjne. Najlepiej i najkorzystniej dla kraju rozbudowane

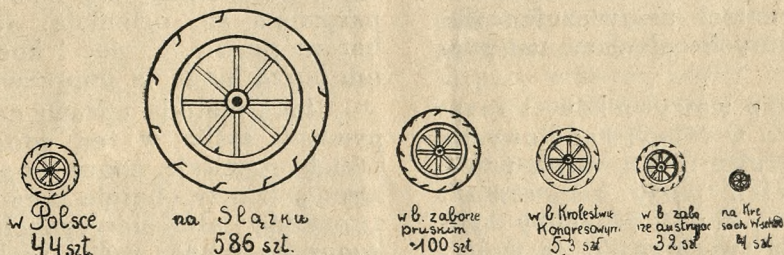
Na 100 km² powierzchni przypada linii kolejowych.



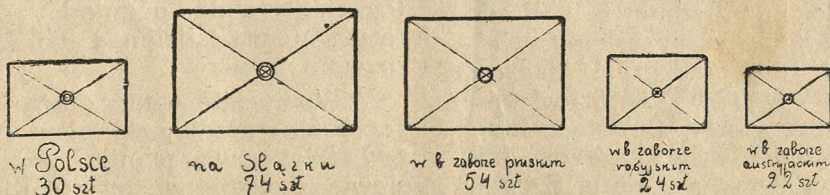
Na 100 km² powierzchni przypada dróg bitych (szos).



Na 1000 km² powierzchni przypada pojazdów mechanicznych



Na jednego mieszkańca przypada roczne przesyłki pocztowych.



są drogi komunikacyjne w b. dzielnicy Pruskiej, gorzej pod tym względem przedstawia się b. Galicja, a jeszcze gorzej b. Królestwo Kongresowe. Kresy Wschodnie są szczególnie upośledzone, należąc pod względem komunikacyjnym do krain najslabiej rozwiniętych w Europie.

Jeżeli chodzi o komunikację wodną, to obok naturalnych dróg spławnych posiada Polska sieć sztucznych kanałów, mających już dzisiaj doniosłe znaczenie gospodarcze, a mogących z czasem w miarę postępów remontu i rozbudowy, odegrać wielką rolę w rozwoju handlu wewnętrznego i zagranicznego.

Najważniejsze linje wodne są następujące: a) droga prowadząca z Ukrainy i Białorusi, przez Dniepr, Prypeć, Kanał Królewski, Bug i Wisłę na Bałtyk. Droga ta służy do spławu drzewa z Rosji i wschodniej Polski; b) droga łącząca

ca system wodny Wisły z systemem wodnym Odry przez kanał Bydgoski, Noteć i Wartę. Droga ta ma duże znaczenie w handlu zagranicznym z Niemcami; i wreszcie c) droga z Ukrainy od brzegów morza Czarnego przez Dniepr, Prypeć, Jasiołdę, kanał Ogińskiego, Szczarę i Niemen na Bałtyk do Kłajpedy. Droga ta miała niegdyś wielkie znaczenie dla wywozu zboża z Ukrainy i Wołynia na Bałtyk, dziś jednak służy głównie do wywozu drzewa, hamowanego w dodatku przez utrudniające zarządzenia żeglugowe wydane u ujścia Niemna przez Litwinów. Ogólna długość dróg wodnych Polski wynosi około 16.000 klm., z czego żaglowych 6.700 klm.

Komunikacja kolejowa rozwinięta jest nierównomiernie w poszczególnych dzielnicach państwa. Gdy w b. dzielnicy pruskiej na 100 km.² powierzchni przypada 10,2 klm. linii kolejowych, to w b. Galicji 5,5 klm., a w b. zaborze rosyjskim tylko 2,8 klm. linii. Ogólna długość eksploatowanych linii kolejowych wynosi w Polsce 19.318 klm.

Najważniejszymi liniami kolejowymi są te, które łączą główny ośrodek przemysłu polskiego Śląsk, z całym krajem i z morzem, oraz te, które łączą stolicę Państwa z najważniejszymi ośrodkami prowincjonalnymi i z państwami sąsiednimi. Wyliczyć tu można: linię kolejową z Warszawy przez Poznań do Zbąszynia (do Niemiec), linie z Warszawy przez Toruń do Gdańska z Warszawy przez Wilno do Turmont (na Łotwę i do Estonii), z Warszawy przez Brześć do Mikaszewicz (do Rosji), z Warszawy przez Lwów do Rumunii i linie z Warszawy przez Kraków do Cieszyna (do Austrii i Czechosłowacji), a także: linie z Gdańska przez Poznań do Katowic i linie ze Lwowa przez Kraków do Cieszyna.

Na liniach kolejowych całej Polski przebiega obecnie 5.000 parowozów, 11.600 wagonów osobowych i 132.000 wagonów towarowych. Koleje polskie prze-

wiozły w roku 1924 209.730.000 osób, oraz 88.617.000 tonn towarów.

Drogi bite rozwinięte są również głównie w b. zaborze Pruskim. Gorzej pod względem ich rozwoju przedstawia się Galicja, jeszcze gorzej b. zabór rosyjski. Na północno wschodnim krańcu Rzeczypospolitej stan dróg bitych jest poprostu rozpaczliwy. Tak np. na 27.849 klm.² powierzchni W. województwa Wileńskiego przypada zaledwie 100 klm. szos, co jest, poza Rosją, najgorszym stanem komunikacji drogowej w Europie. W związku z rozwojem dróg bitych stoi rozwój komunikacji mechanicznej. To też poza m. st. Warszawą, gdzie w dn. 1 stycznia 1926 r. było 4087 samochodów i motocykli, najwięcej pojazdów mechanicznych posiada Śląsk i b. dzielnica pruska (6 646), a najmniej kresy wschodnie (471).

Rozwój poczt, telegrafów i telefonów postępuje stale naprzód, obecnie istnieje w Państwie 3.750 urzędów pocztowych oraz 3.850 stacyj telegraficznych. Długość linii telegraficznych i telefonicznych wynosi 97.000 klm. W ciągu roku 1923 przesłano ogółem 673.000.000 listów i przesyłek pocztowych, 30.000.000 depech, oraz przeprowadzono 475.000.000 rozmów telefonicznych. Zwiększa się także corocznie ilość nadawczych i odbiorczych stacyj radiotelegraficznych i radiotelefonicznych, będących potężnym czynnikiem zbliżenia ze sobą krajów i ludzi. Zaznaczyć należy, iż Polska jest w posiadaniu jednej z największych stacyj radiowych na świecie. Stacja ta, położona pod Warszawą, posiada anteny o promieniu działania 12.000 klm.

Uzupełnieniem środków komunikacyjnych Polski jest powstająca dopiero komunikacja lotnicza. Działa ona coraz sprawniej i obecnie obsługuje już stale 4 linie: Warszawa-Gdańsk, Warszawa-Lwów, Warszawa-Kraków do Wiednia i Warszawa-Paryż.

UPRAWA POMIDORÓW

Bardzo rozpowszechnione jest mniemanie, że pomidory można uprawiać tylko przy ścianach, albo rozpięte na szpalerach, specjalnie w tym celu budowanych, bo inaczej owoce naley nie dojrzewają. Nawet większość warzywników, uprawiających pomidory na rozległych przestrzeniach, przywiązuje rośliny starannie do palików, których całe lasy ustawia na polu.

Ale jest też spory zastęp warzywników, którzy prowadzą uprawę pomidorów w celach handlowych, na wielką skalę, nie podwiązując roślin, co nie przeszkadza wcale, ażeby zbierali plony zadawalające. Niektórzy z nich twierdzą nawet, że gdyby byli zmuszeni do przywiązywania swych roślin, to woleliby wogóle zaniechać uprawy pomidorów, bo koszt urządzania rusztowań a nawet koszt palików i mozolnego wiązania roślin nie zostanie pokryty przez osiągniętą przewyżkę plonu.

Jeżeli kto ma wolną ścianę południową, wschodnią lub zachodnią, albo parkan nie wyzyskany w inny sposób, to naturalnie dobrze uczyni, sadząc wzdłuż naturalnej ochrony pomidory. Te dzieci południa tem lepiej będą się rozwijały, im więcej dostarczymy im ciepła, im mniej będą narażone na ujemny wpływ naszego zmiennego klimatu. Szczególnie odnosi się to do miłośników, którzy rozpo-

ządzają niewielką przestrzenią i powinni ją wyzyskać naley w celu osiągnięcia możliwie najobfitszego plonu. Ale przy kołkach lub szpalerach wolno stojących rośliny nie korzystają z ciepła odbitego od nagrzewającej się ściany, a rzędy sąsiadujące nawzajem się ocieniają. Jeżeli rusztowania nie są bardzo mocne, a więc i kosztowne, to silne wichry, lub burza mogą je poprzewracać.

Inna metoda uprawy pomidorów polega na okopywaniu roślin w ten sposób, że naokoło każdej z nich powstaje spory kopczyk. Pieniek, zasypany ziemią, tworzy chętnie korzenie przybyszowe, woda z opadów atmosferycznych spływa po powierzchni kopczyka, a pędy roślin rozkładają się na nim rozetowato. Bezpośrednie zetknięcie łodyg z ziemią ma tę dobrą stronę, że rośliny korzystają z ciepła, promieniowanego przez ziemię, a więc znajdują się w warunkach podobnych do roślin, rozpiętych na ścianie. Promieniowanie to łagodzi różnice pomiędzy temperaturą nocną i dzienną, co się odbija korzystnie na rozwoju owoców.

Wprawdzie owoce, leżące na ziemi, mogą ulegać zapiaszczeniu, ale piasek łatwo bardzo schodzi z gładkiej powierzchni skórki, jeżeli zaś po rześkiej ulewie przylgnie więcej ziemi, to wystarczy rozłożyć pomidory cienką warstwą i poleć wodą z konewki

przez sito, ażeby owoce zupełnie oczyścić. Gdyby taki zarzut miał wstrzymać od zaniechania podwiązania pomidorów, to przecież z większą jeszcze słusnością należałoby domagać się rozpinania na rusztowaniach ogórków, bo na szorstkiej powierzchni ich owoców piasek trzyma się znacznie mocniej. Zresztą wszystkie warzywa przed użyciem poddaje się płókanu.

W lata normalne gnicie owoców, wskutek zetknięcia się z ziemią, nie daje się we znaki. Więcej oszczędza się na zaniechaniu podwiązania i na materiale do podpierania pędów, niż traci się na owocach zepsutych.

Nie mniej ważną i często w zapytaniach poruszaną sprawą jest ilość pędów, które należy pozostawić na krzaku. Jak wiadomo, pomidor ma wielką skłonność do rozkrzewiania się: z każdego kąta liściowego ukazują się nowe pędy, i gdyby ich nie usuwać, to mnóstwo rozłożystych liści pokryłoby zupełnie owoce, a każdy krzak osiągnąłby ogromnych rozmiarów. Więc nad rozgałęzianiem się pomidorów trzeba panować, usuwając nadmierną ilość pędów. Co jednak uważać za „nadmiar”? Jedne podręczniki zalecają pozostawienie tylko jednego pędu na krzaku, inne radzą puszczać dwa, jeszcze inne uważają za korzystniejsze 3 lub nawet 4 pędy. Ponad tę liczbę prawie nigdy się nie wychodzi. Za to spotykamy się z radami systematycznego cięcia pomidorów za każdym liściem przy uprawie jednopędowej.

Żeby te rady należycie zrozumieć, trzeba pamiętać, że pędy kwiatonośne powstają u pomidorów na łodygach nawprost każdego liścia, a nowe pędy przyrostowe wychodzą z kątów liściowych, czyli po przeciwnej stronie tej samej łodygi. Otóż zwolennicy cięcia systematycznego radzą puszczać tylko jeden pęd. I ten przycinać po raz pierwszy, nad pierwszym gronem kwiatowym. Z kąta liściowego ukaże się wówczas pęd boczny, ale zanim on wyrośnie, soki wszystkie idą na dobro zawiązków pierwszego grona kwiatowego. Gdy naprzeciw pierwszego liścia nowego pędu wykształci się grono kwiatowe, znowu wierzchołek ulega ucięciu, soki zwracają się do zawiązków, a tymczasem z kąta liściowego wychodzi nowy przewodnik. I tak dalej się postępuje, dopóki na jednej łodydze nie otrzymamy siedmiu do ośmiu gron owocowych. Wtedy wierzchołek ulega wycięciu, a pędy boczne niszczeniu, o ile jeszcze miałyby się ukazywać, bo później zawiązane owoce nie zdążyłyby się wykształcić i dojrzeć do jesieni.

Metoda opisana jest kłopotliwa, i znajduje zastosowanie w uprawie szklarniowej (zwłaszcza w Holandji), oraz zasługuje na polecenie w tych ogródkach amatorskich, gdzie niewielka przestrzeń ściany ma być jak najlepiej wykorzystana, bo przy tym sposobie krzaki można sadzić co 40 cm. jeden od drugiego.

Mniej mozolna jest metoda prowadzenia na jeden pęd bez systematycznego przycinania wierzchołków, a więc polegająca tylko na usuwaniu wszystkich pędów bocznych w miarę pojawiania się ich bądź u nasady krzaka, bądź w kątach liściowych.

Na tem samym polega prowadzenie w dwa, trzy, lub cztery pędy.

Otóż rodzi się pytanie, która metoda daje najlepsze wyniki, która pozwala z tej samej przestrzeni zebrać największe plony?

Bardzo cenne wyjaśnienia zarówno w sprawie ilości pędów na krzaku, jak i w sprawie prowadzenia pomidorów przy palikach, albo bez podwiązania

(na kopczykach), dają wyniki prób, przeprowadzonych pod kierunkiem p. Ludwika Falkowskiego, kierownika Stacji doświadczalnej Towarzystwa Ogrodniczego Warszawskiego, w Morach (pod Warszawą). Obserwacje były prowadzone przez dwa lata (1923 i 1924), a poczynione spostrzeżenia znajdujemy poniżej zamieszczone dane.

Więc w sprawozdaniu z r. 1923 czytamy, że waga plonu i ilość sztuk owoców wzrastała w miarę zwiększania ilości pędów (do doświadczeń były wzięte krzaki o 1, o 2 i o 3 pędach); że uzyskuje się większy plon, prowadząc przy palikach, niż na kopczykach;— że ilość pędów w granicach od 1 do 3 nie wpływa na zadrobienie owoców;— że okazał się mniejszy % owoców niedojrzałych przy prowadzeniu na kopczykach, niż przy palikach.

O ile obserwacje z r. 1923 przemawiałyby jeszcze, choć częściowo, na korzyść uprawy pomidorów przy palikach, o tyle ściślejsze, bo poparte danymi cyfrowymi, wyniki spostrzeżeń w r. 1924 wypadają korzystniej dla uprawy na kopczykach. Do doświadczeń użyto roślin o 1, o 2 i o 3 pędach w równej liczbie sadzonych przy palikach i na kopczykach, a plon został następnie przeliczony w stosunku do morga (czyli 5600 m. kw.) i ujęty w dwie tabele, z których jedna przedstawia zbiór w kg., druga zaś w ilości sztuk. Z pierwszej tabeli, dla uproszczenia, przytaczamy tylko wagę zebranych owoców dojrzałych. Obserwacje dotyczyły trzech odmian pomidorów: Alice Roosevelt, Sobótka i Rychłe Sparka (Spark's Earlyana).

Zestawienie I.

Nazwa odmiany	Na kopczykach w kilogram. z morga			Przy palikach w kilogram. z morga		
	1 pęd	2 pędy	3 pędy	1 pęd	2 pędy	3 pędy
Alice Roosevelt	8640	14411	17239	8992	13841	18555
Sobótka	8537	11437	17674	10018	16089	17778
Spark's Earlyana	10457	14877	18327	10132	13281	17539

Zestawienie II: Ilość sztuk owoców z morga:

Nazwa odmiany	Na kopczykach			Przy palikach		
	1 pęd	2 pędy	3 pędy	1 pęd	2 pędy	3 pędy
Alice Roosevelt	96348	155400	186480	95312	146076	199948
Sobótka	82880	133644	187516	110852	171976	189588
Spark's Earlyana	118104	169904	221704	132608	182336	226884

Jakież z tych zestawień można wyciągnąć wnioski? Oto jeśli przy uprawie 1 pędowej jest wyraźna przewaga po stronie uprawy przy palikach, to przy większej liczbie pędów korzystniej przedstawia się metoda kopczykowa. Rzecz łatwo zrozumiała: jeden pęd przy paliku jest oświetlony i ogrzany równomiernie, podczas gdy większa ilość pędów rozkłada się wachlarzowato i wszystkie znajdują się w jednakowo korzystnych warunkach.

Drugi wniosek, że owoce, leżące na ziemi, wyrastają dorodniejsze, niż przy palikach, zwłaszcza u odmiany Rychłe Sparka: przy uprawie dwupędowej na 14877 kg. złożyło się niespełna 170000 owoców, podczas gdy przy uprawie palikowej na 13281 kg. potrzeba było przeszło 182 tysiące.

Dane powyższe, zaczerpnięte ze źródła zupełnie miarodajnego, powinny być uznane za przekonujące, a uproszczenie metody uprawy pomidorów powinno wpłynąć na znaczne jej rozpowszechnienie. Byłoby to ze wszech miar wskazane. Owoce

pomidorów mają w gospodarstwie domowym tak wszechstronne zastosowanie, że na nadmiar ich uskarżać się chyba nie będzie żadna gospodyni. A zawarte w ich miąższu, bezpośrednio pod naskórką, witaminy (B i poniekąd C.) podnoszą wartość odżywczą owocu, tak chętnie spożywanego na surowo, w postaci sałatki, przyprawionej niemniej pożyteczną dla organizmu cebulą. Nadzwyczajną

delikatnością w smaku odznaczają się w tej postaci pomidory żółte, które powinny znaleźć w naszym gospodarstwie znacznie większe rozpowszechnienie. Jeśli będzie na nie popyt, to warzywnicy przystąpią do ich uprawy. Początek rozpowszechnieniu żółtych pomidorów powinny dać ogródki amatorskie, sadząc je narazie na użytek własny, i propagując te owoce pomiędzy znajomymi.

Stan. Schönfeld.

WALKA Z MOLAMI

Na wsi, gdzie się ma dużo przestrzeni i powietrza, i możliwość trzepania, wykurzania sprzętów, dywanów i futer, chociażby co tydzień, panie nie mają prawie tej okropnej plagi. Natomiast w miastach, szczególnie w dużych miastach z wielopiętrowymi domami, gdzie niema możliwości znoszenia dużych kanap i foteli, materacy i otomanek na dwór, gdzie się je czyści i trzepie przed otwartym balkonem, (na balkonach nie wolno), lub oknem, gdzie nawet wytrzepanie dużego dywanu przedstawia poważne trudności, gdyż służąca nie ma dosyć siły, aby go dźwigać po schodach, pan dozorca nie raczy się zajmować tak błahymi sprawami, dającemi zbyt niskie zarobki, a pomoc męska ze strony, mimo ciągłych narzekań na bezrobocie, kosztuje dziesiątki złotych. W miastach każda prawie gospodyni z nastaniem pierwszych dni wiosennych, z przerażeniem widzi srebrzyste, drobne motylki, fruujące po mieszkaniu. Wypowiada się im oczywiście wojnę natychmiast, czyści wszystko, co jest na oku, wietrzy, trzepie, nafaliniuje, zapakuje, — a motylki wciąż z jakichś nieznanych tajników i zakamarków wylazą i fruują, fruują! Otóż tutaj innej rady niema, jak tylko robić jak najstaranniejszą rewizję wszystkich składów i składzików, wszystkich szaf, komód i kufrów: szukać zamolonych już rzeczy, które, o ile bardzo zostały przez szkodników zaatakowane, najlepiej wprost spalić, te co się da uprać w wodzie i dopiero po uprósowaniu przechować, — najmniej uszkodzone czyścić i czyścić co tydzień przez lato całe.

Na rozmnożenie moli fatalnie wpływają kosze wiklinowe, tak używane dzisiaj, przy drożynach kufrów podróżnych. Stara garderoba, rozmaite kawalki wełnianych materiałów, włóczki i wełny pozostałe z robót, składamy do takiego kosza, — z braku miejsca w szafie lub komodzie, — no i przy nawale zajęć, przy szalonym tempie życia codziennego zapominamy o tem wszystkim, gdy mole zaczynają nam przypominać o niebezpieczeństwie zniszczenia wszystkiego, co im do smaku przypada, zaglądamy do takiego kosza i znajdujemy strzępy, pokryte pajęczynami i setkami robaczków, między tem trupy dawnych moli, — istny obraz nędzy i rozpaczy. Takie kosze wiklinowe należy używać tylko do przechowywania bielizny lnianej i bawełnianej, papierów i innych rzeczy, nie wzbudzających molowych apetytów. Szafy zresztą i komody nie są pewnym schroniskiem od moli, — mają one zawsze jakieś małe szczelinki, przez które szkodniki się przedostają, stosunkowo najlepiej chować od moli, w szalonym kufer, lub walizkę podróżną, z warunkiem jednak, aby przedmioty przechowywane nie miały już w sobie jajeczek moli. Gdy te są nie pomoże żadna naftalina, całe gniazda moli doskonale się rozwijają i żerują tuż obok białych grudek tego „aromatycznego“ antidotum.

Jeżeli chodzi o zwalczanie moli zapomocą

nieprzyjemnych im zapachów, to lepiej używać liści tytoniu, (machorki), terpentyny prostej lub francuskiej rozpryskanej na arkuszach papieru, (sama terpentyna, użyta bezpośrednio, robi tłuste plamy), lub liści paczuli. Te ostatnie są szczególnie przyjemne do futer, którym nadają miły, trwały zapach. Do przechowania futer najlepiej się nadają długie, wąskie, gumowe worki ze szczelnym zamknięciem patentowanym, indywidualne dla każdej sztuki, przed wojną były one bardzo w użyciu, boję się jednak, że w dzisiejszych warunkach są one dostępne tylko dla milionerów, których mamy chyba bardzo niewiele. Zawsze przodujący w praktyczności dostępnej dla wszystkich amerykanie, mają proste worki z klejonego papieru, takich samych kształtów i rozmiarów, jak przedwojenne gumowe, futra w nich przechowane są zupełnie zabezpieczone od inwazji moli, a worki takie grosze kosztują.

Sądę, że u nas dałyby się one łatwo wykonać, i miałyby olbrzymi odbyt. Jeżeli nawet na wyrób ich trzeba kupić patent, patent taki stokrotnie by się opłacił. Ale cóż kiedy my nie chcemy się zajmować drobiazgami, my chcemy robić same wielkie rzeczy, i w rezultacie robimy mało, lub nic. Przed przechowaniem każdej rzeczy należy ją jak najdokładniej oczyścić, — tutaj nieocenione usługi oddają odkurzacze elektryczne, dywany i meble można zupełnie dokładnie pozbawić kurzu i jajeczek molowych, — kto nie ma takiego odkurzacza może go wynająć na godzinę nawet. Gorzej jest z futrami o długim włosie, wypróbowałam sama, że odkurzacze nie jest w stanie oczyścić skóry pod nim. Włosy włożą do kątnicy, a kurz na skórze pozostaje. Tutaj konieczne jest trzepanie i niejednokrotowe i nie trzepaczką, — a paru laseczkami trzciniowymi. Futro się układa możliwie równo na stole i raz po razie uderza takimi trzcinkami. Potem należy je wyczesać specjalnym metalowym grzebieniem używanym przez kuśnierzy, poczem raz jeszcze gęstymi uderzeniami trzcinek wytrzepać.

Jeżeli mamy jakiegokolwiek wątpliwości, czy wszelkie zarodki moli zostały usunięte, należy trzepanie takie i wyczesywanie powtarzać co parę tygodni. W Rosji, gdzie były najpiękniejsze futra i zbytek w ich noszeniu był największy, w taki tylko sposób przechowywały je wielkie firmy kuśnierskie. Samo wietrzenie futer na balkonach absolutnie do niczego nie prowadzi, — mole stanowczo taki pobyt na powietrzu uważają za przyjemną wilegaturę i swoją robotę destrukcyjną prowadzą dalej, mam nawet mocne podejrzenie, że z futrem się przenosi do mieszkania niejednego mola sąsiedzkiego, który przyfrunął z innego mieszkania i usiadł na wietrzącym się skunksie, lub sobolu, który mu się specjalnie wydał smacznym.

Pani Elżbieta.



KARTOFLE Z CHRZANEM.

Kilo młodych kartofli odgotować w wodzie z solą, pięć jaj ugotować na twardo i pokrajać we ćwiartki lub plasterki. Łyżkę masła zasmażyć z łyżką maki na biało, rozprowadzić rosołem, lub chociaż wodą, dodać spory korzeń chrzanu, utarty wpierw, skropiony octem, posypyany solą i cukrem, zamoczyć rązem, dodać półkwaterek dobrej śmietany, półmisek posmarować masłem, ułożyć rzędami kartofle i jaja, posypać koperkiem. Polać sosem, który powinien być tak gęsty, aby nie spłynął pomiędzy kartoflami na dół. Posypać tartą bułeczką, wstawić w gorący piec na kwadrans. Proporcja na 5—6 osób.

KURCZĘTA PIECZONE Z BECHAMELEM.

Spore kurczęta, oprawione jak zwykle, nie nadziewane jednak, upiec w piecu lub pod blachą w maśle, lub świeżym szmalcu, gdy są już dopieczono i ładnie zarumienione, poprzekrawać wzdłuż na połówki. Sos z kurcząt wylać na metalowy półmisek, dolać jeszcze filiżankę rosółu lub wody, ułożyć na to połówki kurcząt, polać każdą połówkę następującym bechamelem. Łyżkę maki zasmażyć na biało z łyżką masła, rozprowadzić szklanką śmietanki lub dobrego mleka, zagotować. Dwa jaja rozbić mocno z dwoma łyżkami wody, dodać do sosu, zagrzać, mocno ubijając, lecz nie gotować, osolić, dodać garść ostrego, tartego sera. Tej ilości starczy na czworo kurcząt, czyli na osiem ich połówek. Pokryte bechamelem kurczęta wstawić do gorącego pieca, gdy nabiorą złotawego koloru wyjąć i zaraz podawać. Do tego groszek zielony, lub marchewka młoda, można też podać każdą zieloną sałatę.

MACÉDOINE Z OWOCÓW.

Należy robić na dwadzieścia cztery godziny przed użyciem. Można do tej potrawy użyć wszelkich sezonowych owoców, biorąc jak największą ich różnorodność, niezbędnym jest tylko melon, który nadaje jej właściwy smak i aromat. Można zresztą użyć na nią melon jak najbrzydszy, krzywy, niedorośnięty, nie dający się użyć do niczego innego, byle był aromatyczny i dojrzały. Jakiś ładny słoik kryształowy, wazę kryształową do ponczu, lub bardzo głęboką salaterkę, napełniać kolejno rzędami poziomek, truskawek, malin, porzeczek, wisien lub czereśni, renklod, lub śliwek, przekrajanych na ćwiartki gruszek lub jabłek soczystych drobno szatkowanych, moreli lub brzoskwiń, krajać je na części każdy rząd przesypując cukrem i co kilka rzędów kładąc warstwę pokrojonego w kostkę melona. Gdy naczynie pełne wynieść na lód na dwadzieścia cztery godziny. Podawać wprost z lodu w tem samym naczyniu. Można

przed samem podaniem polać na wierzch duży kieliszek „Kirsch'u” lub „Maraschino” i wymieszać łyżką do dna. Wyborna, bardzo elegancko wyglądająca potrawa, odpowiednia na większą ilość osób.

SZARLOTKA Z AGRESTU.

Zagnieść kruche ciasto z pół kilo maki, ćwierć kilo tłustego masła, czy szmalcu, ćwierć kilo cukru i jednego jajka. Wyłożyć niem formę lub płaski rondel, pozostawiając okrągły kawał rozmiaru tegoż rondla na pokrycie. Półtora kilo dojrzałego agrestu oczyścić z ogonków i szypulek kwiatowych, jeżeli agrest jest bardzo duży poprzekrawać na połowę. Napełnić formę agrestem, przesypując go szklanką cukru (agrest dojrzały jest sam przez się bardzo słodki). Zasklepić pozostałem ciastem łącząc bardzo starannie brzegi i zaciskając je, nakłuć wierzch widelcem, aby para wychodziła. Wstawić w średnio gorący piec i trzymać całą godzinę, aby ciasto było mocno rumiane, a agrest się zupełnie rozpiekł na jednolitą masę.

NOWY SPOSÓB ODGRZEWANIA PIECZENI CIEŁĘCEJ.

Pozostałą pieczeń cielęcą pokrajać na zrazy. Na kilo cielęciny ugotować pół kilo dobrego wermiszelu. Odląć, przelać zimną wodą, zmieszać z łyżką masła, dużym jajkiem lub dwoma mniejszemi, garścią ostrego tartego sera, lub ćwierć funta (dziesięciu deka) cienko, w paski krajanej szynki.

Półmisek metalowy polać rozpuszczonym sosem od pieczeni, jeśli go mało dolać rosółu lub wody, każdy plaster pieczeni nałożyć grubo makaronem, posypać ostrym serem i układać jeden obok drugiego, wstawić w gorący piec, gdy się makaron lekko zarumieni, podawać. Do tego mocny sos buljonowy, lub też rumiany z kaparami i cytryną.

ZRAZY WIOSENNE.

Kilo miękkiej wołowiny bez kości od krzyżowej, zrazowej lub kotletowej, przekrajać na sześć plastrów, rozbić mocno, zrumienić mocno z obu stron na maśle z cebulką, soląc dopiero po zrumienieniu. Nelsonkę wysmarować masłem, położyć dwa zrazy, pokryć je krawędziami lub całemi, jeśli małe, młodem kartoflami, marchwią przekrojoną na połówki, groszkiem w strączkach, szpinakiem surowym pokrajanym w grubą kostkę, posypać wszystko koperkiem, osolić, na to znowu dwa zrazy, znowu jarzynki, znowu dwa zrazy i znowu jarzynki, polać masłem, w którym się smażyły zrazy, lekko posolić, jeśli masła mało położyć jeszcze małemi kawałkami, podlać paru szklankami rosółu lub wody, aby się nie przypaliły i dusić pod pokrywą aż jarzynki zmiękną, podawać w temże samem naczyniu. Jarzyny wszystkie kładzie się surowe, można je zastąpić świeżemi, jakie mamy pod ręką, na przykład szparagami (które jednak należy obgotować do połowy), kalafjorami itp. nie używając jednak jarzyn starszych i twardych, aby się przedko-udusiły.

Pani Elżbieta

DR. MED. J. ŚWITALSKA

zawiadamia, że przez maj i czerwiec ordynować będzie od 5—7 codzień, z wyjątkiem sobót i niedziel.

Krucza 31, m. 3; tel. 102-77

Korespondencje działu praktycznego

Z DZIEDZINY KOSMETYKI.

Zaneta.

Płyn, który podaje, jest przeznaczony tylko na wągrzy na plecach.

Recepta; Ac. salic. 1,0
Sulf. praecip. 4,0
Spir. vini rectif. 20,0
Saponat Kalcini 20,0
Glycerini 20,0 Ds.

Smarować należy plecy na noc po uprzednim wytarciu benzyną. Stosować to 5 do 10 dni.

Rano myć gorącą wodą i mydłem siarczanem i dobrze zapudrować. W razie zadrażnienia stosować „Mój Krem“.

Grodnianka.

Kamienie żółciowe są uleczalne. W wypadkach wyjątkowo uporczywych stosuje się zabieg chirurgiczny.

Co do potomstwa cierpienie to żadnego znaczenia nie ma. Anemię leczyc trzeba troskliwie i długo. Z wewnątrznie stosowanych środków bardzo dobry jest Hemogen.

O ile traktuje się swoje zdrowie poważnie, to należy wszystkie choroby wewnętrzne leczyć u lekarzy specjalistów. W Warszawie dużo jest specjalistów b. dobrych w chorobach wewnętrznych, trudno jest podawać nazwiska wszystkich. W każdym czasie mogą podać adres ustnie, lub telefonicznie.

Radziwiłłow Z. S.

Ospę szczepić powtórnie radzę Pani koniecznie. W razie przyjęcia się szczepionki, może być podniesiona temperatura i ogólne niedomaganie. Nie należy się tem niepokoić. Ochronić przed przeziębieniem, a do 2-tych tygodni wszystko się uspokoi.

Krem proszę zamawiać wprost Krucza 31, Dr. Świtalska, nie przez Redakcję, bo się przez to opóźnia wysłanie.

E. S.

Jeżeli nie można sobie pozwolić na „Mój Krem“ i „Mój Puder“, można używać olejek różany i maczkę rzżową. Błyszcząca twarz należy parować raz na tydzień, zlewając potem zimną wodą.

Zmywanie kwaśnym mlekiem jest dobre, ale potem trzeba twarz natłuszczać. Cytrynowy sok też można na twarz stosować, ale zabieg ten można wykonywać raz na przeciąg pewnego czasu.

J. Sr. Kielce.

Paznogie nie nadają się do leczenia, zabieg chirurgiczny w tym wypadku daje najlepsze rezultaty. Polepszenia nie mogą wywołać sztuczne naświetlania, jest to zabieg bardzo uciążliwy i kosztowny.

Dr. J. Świtalska.

KURS PRZETWORÓW
OWOCOWYCH

Pragnąc wzbudzić zainteresowanie szerszych warstw społeczeństwa sprawą przetwórstwa owocowego i warzywnego. Koło Miłośników Ogrodnictwa organizuje specjalny kurs wykładów, połączonych z ćwiczeniami praktycznymi.

Cykl wykładów obejmie ogólne wiadomości z mikrobiologii i procesu fermentacji, dział win owocowych, jagodowych, suszenie owoców i warzyw, przetwory z soków owocowych t. j. soki, galaretki, napoje bezalkoholowe, oraz konserwy w naczyniach zamkniętych (puszkach, słojach, kompotjerach).

Kurs trwać będzie od 1-go do 9-go lipca r. b. i obliczony jest na 9 dni wykładowych po 4-7 godzin dziennie, łącznie z ćwiczeniami praktycznymi.

Wykłady i ćwiczenia odbywać się będą w Zakładzie Technologii Fermentacji Politechniki Warszawskiej Polna 3, oraz w Państwowej Szkole Ogrodniczej Nowogrodzka Nr. 60. Wykładać będą: p. Prof. W. Iwanowski i p. Andrzej Meryng.

Zapisy przyjmują i informacji udzielają: St. Wysocka od godz. 11 ej do 1-ej w mieszkaniu p. Zielińskiej Al. Jerozolimskie Nr. 45 tel. 32-35, Skład nasion B-ci Chomicz, Zgoda 8, oraz Stowarzyszenie Zjednoczonych Ziemianek, Marszałkowska 149. Liczba słuchaczy ograniczona.

Opis sukien i robót do № 27.

601. Suknia z poneliny białej niebieskiej, kamizelka biała.
602. Suknia z crêpe de chine'u koloru cytrynowego z szafirową szarfą.
603. Spódnica w kratę, kamizelka z kasha płaskowego i brązowy żakietek.
604. Kostjum z granatowego kasha.
605. Palto koloru bois de rose, przybrane guziczkami.
606. Suknia rezedowa przybrana haftem, kołnierzyk i kamizelka biała.
607. Sukienka dla dziewczynki siedmioletniej z ponsowego woalu, falbaneczki czarnej.
608. Sukienka dla pięcioletniej dziewczynki ozdobiona haftem.
609. Suknia z różowego crêpe de chine'u przybrana ciemno zieloną plisą z różami układanymi ze wstążeczki.
610. Sukienka z popeliny kremowej, dla dziewczynki sześciioletniej.
611. Sukienka z haftu białego dla dziewczynki pięcioletniej.
612. Suknia z crêpe marocain koloru pervenche, przybrana haftem.
613. Suknia z surowego jedwabiu, pasek ponsowy.
614. Suknia z fularu gładkiego i deseniuowego.
615. Bluzka z surowego jedwabiu, wyszycia kolorowe.
616-617. Modne fasony kapeluszy.
618. Bluzka z popeliny rezedowej, przybrana ciemniejszymi pliskami.
619. Bluzka z crêpe de chine'u, boki plisowane.
620. Bluzka z kasha bois de rose, przybrana aksamitką.
621. Bluzka z surowego jedwabiu z barwnym krawatem.
622. Wzór na makatę, aplikacja.
623. Wzór na laufer, haft richelieu.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:
palto, lub suknia fantazyjna zł. 3,50
suknia zwyczajna „ 2,50
bluzka „ 2,00
formy dzieciinne „ 2,00
bielizna „ 1,50

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

Z powodu wynikłych nieporozumień wyjaśniamy co następuje: ogłaszane przez nas arkusze wzorów w cenie 30 gr. są to oddzielne arkusze, które były dodawane do „Bluszcza“ w ciągu roku 24 i 25 i których pozostała niewielką ilość możemy odstąpić naszym Czytelniczkom.

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, nie mają z temi arkuszami nic wspólnego i mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:
obrus — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów, poza temi które były umieszczane w „Bluszcza“, nie wysyłamy.

Wysyłanie za zaliczeniem kosztuje więcej, niż forma, lub wzór i dlatego zapewne wiele prynciptorek nie wykupuje zamówień, narażając nas na duże straty.